Nr. 49 (1248). Warszawa, 20 Listopada (3 Grudnia) 1904 r. **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. **10**

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codzień ie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Od Redakcyi.

Przyjaciołom **Prawdy** *polecamy ją w roku następnym. Nie czynimy im żadnych obietnic. Tych, którzy nie opuścili jej przez lat dwadzieścia cztery, towarzysząc wiernie przez burze i zamiecie, ufając niezłomnie, tych nie potrzebujemy zapewniać o szczerości naszych uczuć, czystości zamiarów i celów. Nie zbaczając z dróg, które wytknęła* **Prawdzie** *myśl jej Twórcy, z głęboką w sercu wdzięcznością za przyjaźń i opiekę, jaką On stale i niezmiennie nas darzy, idziemy silni tem, cośmy już przetrwali, strzegąc pilnie światła, które nam nieść przekazano, by nie zagasło, lecz, jak dawniej, rozpraszało ciemności i służyło tym wszyttkim, co pragną uczciwie a mężnie spełnić swój obowiązek. W otaczającej nas garstce serc prawych znajdujemy odbicie, zrozumienie i poparcie naszych usiłowań i dążeń. Wierzymy, że przyszłość nie zawiedzie.*

Pragnących zostać z nami lub przyłączyć się do nas, prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty.

Przez wzgląd na prenumeratorów, przybywających z następnym rokiem, nie chcieliśmy w ostatnim kwartale bieżącego rozpoczynać w dodatku nowego a zapowiedzianego dzieła J. M. Baldwina; w końcu grudnia przeto otrzymają nasi czytelnicy zeszyt 6-arkuszowy, zawierający tłomaczenie kilku szkiców Huxleya p. t. „Ewolucya i Etyka,“ a początek książki Baldwina — „Życie moralne i społeczne“, w pierwszym kwartale 1905 r.

POLITYKA.

Nowy budżet.

Zajmującym będzie budżet wojskowy niemiecki na przyszły rok gospodarczy 1905—6. Szczególniej siły morskie otrzymają w nim znaczne podwyższenie zbrojności i niezbędnych na nią ciężarów narodowych. Na obecnym etacie wojennym jest 19 okrętów liniowych, 13 wielkich krążowników, 12 kanonierek opancerzonych i 32 mniejsze krążowniki i wreszcie 42 statki do boju nieprzeznaczone — razem 118. Do tego przybywa jeszcze 86 torpedowców oceanowych i 34 przybrzeżne — wogóle 238 sztuk. W budowie znajduje się obecnie 7 wielkich okrętów, 4 mniejsze i 6 torpedowców; 1 wielki okręt w tym roku spuszczono na wodę. Wliczając ten przyrost, otrzymujemy na sumę ogólną: 77 już istniejących i 17 w blizkim czasie spodziewanych machin zniszczenia na morzu. Zwłaszcza liczba wielkich pancerników, dochodząca do 25, każdego uderzać musi, a 15 wielkich krążowników potęguje jeszcze wymowę tej liczby. Niemcy chcą być stanowczo pierwszem mocarstwem morskiem na Bałtyku i na morzu Północnem i na angielski dogmat, że flota narodowa musi być silniejszą od flot połączonych którychkolwiek dwu mocarstw, odpowiadają podnoszeniem swojej, ustawicznem, corocznem, za stałą funkcyę państwa już uważanem.

Wielkie zarazem ciężary spadają na naród niemiecki i *pro rata* też na to społeczeństwo polskie, które jednolitości państwa narodowego samo jedno już tylko całem istnieniem swojem przeczy. W r. b. budżet floty zwyczajny i nadzwyczajny wyniósł razem 227 mil. marek, a ogromna przewaga budżetu nadzwyczajnego najlepiej uwydatnia tę dążność do wzmocnienia się jak największego na obu morzach, głównie zaś na Bałtyckiem, gdzie portów jest więcej, a konieczność zrównoważenia potęgi morskiej rosyjskiej, mającej za sobą bujnie rozwinięte i z potęgą lądową ściśle zrosłe wybrzeża, czyni potrzebę bardziej naglącą. Ze $125^2/_3$ mil. budżetu nadzwyczajnego 70 idzie na nową budowę, rozłożoną na lata. W r. b. ta suma będzie jeszcze zwiększoną, i zdaje się, że wejdzie już stale, jako zwykły bieżący wydatek do przyszłych budżetów. Ponad budżet ogólny, w obu głównych działach rząd niemiecki dopomina się na rok przyszły o $21^1/_2$ mil. marek więcej; tworzy bowiem 100 nowych oficerów, 2,500 podoficerów i żołnierzy, buduje torpedowce nowego typu, potrzebuje pieniędzy na badania, do których go pobudziła wojna japońsko-chińska. Same tylko wydatki zwyczajne podniosą się o 7 mil. wporównaniu z pierwotnie uchwaloną kwotą na r. 1904—5, $10^1/_2$ mil. z dopłaty powyższej zabiorą wydatki jednorazowe, głównie na budowę, a 4 miliony zostaną na próby, doświadczenia i różne przewidziane, ale nieokreślone wydatki.

Na lądzie chce rząd pruski podnieść stan liczebny armii, wynoszący dawniej we wszystkich jednostkach taktycznych,

rodzajach broni, komendach, zasobach i narzędziach 495,500 ludzi i 105,626 koni, w roku 1905—6 o 36 of. i 1,040 żoln. w piechocie, o 10 of. 284 żoln. w artyleryi, i tak samo w latach następnych aż do 10,000 ludzi. Po takiem zwiększeniu będzie miała armia niemiecka wogóle, wliczając i obsługę niezbrojną„ w okrągłej liczbie 510,000 ludzi na stopie pokojowej. Ważniejszem jeszcze od przyrostu ludzi jest przyrost i częściowa zmiana dział słabszych na mocniejsze. Z 44 milionów, które społeczeństwo dopłacać ma do ponoszonych już obecnie ciężarów, pokryta będzie w roku 1905—6 i pierwsza rata tego nowego dobrodziejstwa dla ludzkości. Jeśli zsumujemy obie pozycye, lądową i morską, otrzymamy przyrost budżetowy z $65^1/_2$ mil., a nie z 56, jak wmawia w słuchaczy swych służebnica kanclerska. A te miliony to nie są jakieś nagle wpadające z przestworu niebieskiego moteory: nie, zjawiać się one będą ciągle, stale, z nieuchronnością i niezawodnością samego czasu. Wydatek jednorazowy będzie równie stały, jak t. zw. stały; on właśnie do życia powoływać ma te potwory morskie, na których utrzymanie idą wydatki zwyczajne; wydatki nadzwyczajne szybko się uzwyczajnią, gdyż każdy rok ubiegający przekazywać go będzie stale swemu następcy.

Dodając do obecnego nakładu na wielkość i całość polityczną Niemiec, obliczonego na $950^1/_2$ milionów marek, ów żądany przyrost $65^1/_2$ mil. marek otrzymujemy 1116 milionów ciężaru, co dosięga 18.6 marek na głowę. Jest to brzemię ogromne. Stronnictwo socyalistyczne doskonale je czuje, a niebezpieczeństwa militaryzmu nie pojmuje z samego tylko stanowiska ekonomicznego całości lub gospodarczego tych, którzy, nic swojego, prócz sił do pracy nie mając, muszą koniecznie z siebie owe marki dla wojska, dla państwa, dla jego ambicyi wypracować. Ale socyaliści stoją odosobnieni, cały naród we wszelkich warstwach znosi chętnie to jarzmo strachu o życie i żądzy wielkości, których dziecięciem jest wszelka siła zbrojna. Mało nawet kto pyta, na co to wszystko; ogromna większość widzi ostateczne przeznaczenie w koniecznej obronie. Przymierze francusko-rosyjskie utraciło swe znaczenie, jako dźwignia dla Alzacyi; Alzatczycy dziś już sami w wydziele krajowym czynią wnioski o trwałe wcielenie w Cesarstwo; Francuzi wytrzeźwieli z szału odwetu i odzyskania straty; Niemcy, nakoniec, nie są tak ograniczeni, aby dla zabezpieczenia sobie zaborów z roku 1870 chcieli sięgać po Lotaryngię francuską, a nawet Szampanię: ale z obu stron mogłaby ich spotkać niespodzianka w razie sprzeciwienia się Rosyi. Dlatego polityka jak najprzyjaźniejsza względem Rosyi jest hasłem rządowem, a dzięki tej polityce będą mogły Niemcy w obecnej wojnie rozszerzyć swe posiadłości w Chinach.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W końcu przeszłego tygodnia Japończycy— jak o tem pierwszy doniósł telegraf z pogłosek — natarli na forty północno-zachodnie: Erlunszan, Szenszuanszan i Kikuszan (nazwy nieustalone), bardzo już bliskie zatoki i góry Przepiórczej. Z Erlunszanu już dawniej zajęli przedpiersia; teraz mieli natrzeć na samą warownię, bardzo silną. Z doniesień nie widać choćby tylko najogólniej przebiegu działań, ani też ich wyniku. Depesza urzędowa japońska przedstawia sprawę jako ciężką, ale mówi o częściowem powodzeniu; depesze ze źródeł prywatnych rosyjskich obliczają mnóstwo poległych, prawie na 5,000, nie mówią jednak wyraźnie o odparciu ataku. Ponieważ depesza japońska z Tokio ma datę 27 z. m., a po niej żadnej innej już nie wysłano, zdaje się, że działania nie były ostatecznie, choćby częściowo, pomyślne.

Nad Sza-ho, już za rzeką, w stronie zachodniej, od 24 do 28 z. m. toczono walki w miejscowości, nieznajdującej się na mapach zwykłych, nazwanej Tsen-czuang-czengiem. Zaczepnie zrazu wystąpili Japończycy, potem Rosyanie. Chodziło o zdobycie tej miejscowości. Najzaciętszy bój był d. 25 z. m. Walczyła wtedy, według gen. Kuropatkina, cała brygada japońska, bez powodzenia. Ostatnia depesza z d. 29 z. m. przedstawia bój jako jeszcze trwający. Japońskich trupów pochowano 230. Wojsko mukdeńskie straciło jednego dnia 9 zabitych i 58 ranionych, drugiego 11 zab. i 63 ran.; o stratach trzech pozostałych dni generał nie wspomina.

Adm. Rożestwenskiego mają zaopatrzyć w węgiel Niemcy w Svakopmundzie, swej kolonii afrykańskiej, południowo-zachodniej. Ważna zatem troska spada z głowy dowódcy; Francuzi znowu przygotowują zasiłek dla drugiej części floty w Dżybutti na m. Czerwonem; węglarze angielscy z Cardiff wysyłają jeden po drugim wielkie statki ładunkowe na morze Śródziemne i dalej: okazuje się z tego, że flocie rosyjskiej nie zbraknie karmi dla machin. Zdążają drogą bliższą i dodatkowe okręty, które się opóźniły z wyruszeniem. Od wypłynięcia rzeczywistego całkowitej floty upłynęło już do końca listopada dni 48.

Umowę o komisyę śledczą podpisano w piątek lub sobotę przeszłego tygodnia, nie w Londynie, ale w Petersburgu, co już samo przez się jest zwycięztwem dyplomacyi rosyjskiej; wyraźniejsze jeszcze przebija się w postanowieniu, że wogóle nawet zdania swego o czynach komisya wypowiadać nie ma; nietylko więc nie wymierzy kary, jak wmawiały dzienniki petersburskie dla wzburzenia swych czytelników, ale nawet nie wypowie nagany: całem jej powołaniem jest wyluszczenie faktów, a wpośród nich i faktu psychologicznej pobudki, która zniewolić mogła admirała do strzelania. Pokój jest na jak najlepszej drodze, nietylko ten zewnętrzny, naruszany przez działa i karabiny, ale wewnętrzny, wyrażający się życzliwem usposobieniem jednej strony dla drugiej. Po słomianych ogniach angielskich z d. 22—25 października niema już nawet popiołu.

Anglia zmienia rozkład swych sił morskich na wodach europejskich. Ponieważ podpisano umowy miłości z Francyą i Włochami, przeto część okrętów z m. Śródziemnego pójdzie na północ; dzisiejsza eskadra Kanałowa rozrośnie

---

ERNEST REINHART.

*

O SŁABOŚCI, BOJAZNI I CELU.

Przyczynek do poznania istoty ludzkiej.

(Dokończenie).

Kiedy dawnymi czasy wracacał żeglarz do domu, na swój brzeg fryzyjski i pokazywał kobietom italski dzban szklany, kruche naczynie ostrożnie twardemi obejmując rękami, budził zdumienie, ale żadnej tęsknoty. Autor Iliady rozgrzewał się wspaniałością oręża bogów, ale o tem, jak wyglądał skarb Nibelungów, nie mamy wyobrażenia, opisania go nikt nie uznał godnem swego trudu. Wiemy tylko, że go stworzyli nie bogowie, lecz podziemne duchy trwogi, bogowie go wydali, zresztą wartość jego była czarodziejstwem, a posiadanie zgubą.

Umarłych bohaterów i cześć dla nich utrzymywać, tajemne moce słowem i dźwiękiem zaklinać — było dla ludzi silnych wystarczającem zadowoleniem potrzeb sztuki; a co w ich baśniach i pieśniach daje nam obecnie rozkosz sztuki, harmonia jasnych słów i głośnych myśli, dawniej nie było sztuką w znaczeniu naszych czasów. Dla siebie samych ludzie silni nie pożądaliby i nie zdołali obdarzyć świata wdzięczną grą sztuki. Ale dla jej rozwoju, ku wielkiej chlubie ludzkiej, stało się coś potężnego, gdy na groblę narodu celowego spadła gwałtowna fala plemion wolnomyślnych i zakłóciła stojącą wodę. Wówczas dla sztuki zakwitła niezmierzona wiosna, a dla stylu epoka.

Nie przez krytykę, lecz mocą swej władzy młoda krew zmusiła stary cech do złamania form zwyczajowych i do zwrócenia odziedziczonych uzdolnień na tory swej woli. Jej wolą zaś były: natura, prawidłowość i szlachectwo. I nowa wola stworzyła nowych mistrzów; panowanie szlachty było państwem, a służenie szlachcie sztuką.

Ale potem, kiedy stara, powolna krew zaczęła przetrawiać młodszą i jaśniejszą, kiedy zmieszanie uspokoiło wylew i usunęło zabarwienie wcześniejsze, wówczas i sztuka popłynęła po pochyłości starej doliny, wprawdzie zbaczając, ale znowu posłuszna prawom i istocie ludzi celu.

Jakiż wszakże jest rodzaj tego celu, tej prawidłowości, ku którym dąży czucie tych ludzi?

Jest to sztuka zmysłów i wrażeń zmysłowych.

Sztukę ludzi słabych cechują trzy pierwiastki: popierwsze to, co zmysły pieści i upaja czarem dźwięku i barwy, przepych i dekoracya; następnie to, co pobudza namiętności bojaźliwego—strach, współczucie, zgroza, gniew, pobożne uniesienie; potrzecie to, co rozum podnieca, drażni, ściera kontrast—silna charakterystyka, dowcip i spryt.

Dla formy, wyrażenia wewnętrznych praw organicznych, sztuka ta niema wcale szacunku. Serdeczności, skromności nie zna ona. Wielkość prostoty i symetryi nie wzrusza jej.

Niewielu więc trzeba słów, ażeby przypomnieć drogę, którą, sobie samej zostawiona, sztuka ludzi celu przebiedz musi.

Zacząwszy od wspaniałej wizyi i świętej bogobojności, doszło malarstwo do przedstawiania rzeczy i zdarzeń znaczniejszych, potem piękniejszych, jeszcze potem zdobniejszych. Coraz bardziej wyswobadzając się od treści pozazmysłowej, której ostatnie szczątki wygnało sportową nazwą „anegdotyczne,“ coraz bardziej stanowczo za jedynego sędziego i pana swej sztuki uznawało ono duchem nieczacmione oko; aż wreszcie w ułożeniu płaszczyzn, ocenieniu świętości, w zgodzie barw, zbadaniu charakterystyki i niezliczenie drobnych wpływów, które napół świadomie oddziaływają na twarz, jako nastrój, doścignęło ono najwyższej mocy zmysłowej.

Poezya zaczęła od bogów i bohaterów. Modlitwa i wysławianie dźwięczało z jej strof. Zasłynąwszy niegdyś, jako ze wszystkich sztuk najbardziej etyczna, do dnia dzisiejszego tak dalece wyzbyła się wszelkich nadzmysłowych dodatków, że najba

się w Atlantycką, a północno-morska i wewnętrzna — w Kanałową. We Francyi z powodu tej przyjaźni były niepokoje w Izbie: wytłomaczył się ze słów, źle zrozumianych, sprawozdawca komisyi, a p. Delcassé dał tak jasne wyjaśnienie konieczności i ciągłej a wielkiej doniosłości przymierza z Rosyą, że po niem każdy Francuz może już pełną piersią oddychać: nie jest osamotnionym.

P. Combes oparł się przedwczesnemu żądaniu, aby raz nareszcie znieść budżet wyznań. Izba odrzuciła wniosek 326 gł. prz. 232, ale za to, zgodnie z ministrem, zniosła etat poselstwa w Watykanie. Jest to logiczne stwierdzenie zerwanych od czterech już miesięcy stosunków. W komisyi, urządzającej rozdział między kościołem a państwem, rząd złożył swój projekt, komisya ma ich więcej, między innymi dawny, Brianda; ułoży też i swój własny. W końcu grudnia mają się odbyć rozprawy. Z mów dotychczasowych nie widać, aby myślano o wytworzeniu funduszu rentowego, jak we Włoszech, jak w projekcie Brianda. Większość pozostawia wyznaniu możność zaopatrywania się w trwałe środki, ale przeciwna jest dodawaniu do nich czegokolwiek z funduszów państwa.

Sprawa szpiegostwa nad oficerami ciągle się jątrzy. Minister Chaumié wydał okólnik uznający za niegodne nauczyciela denuncyowanie oficerów armii. Dowiadujemy się stąd o istnieniu tego kierunku republikanizmu we Francyi.

Rząd niemiecki zamyśla podnieść znacznie swą zbrojność na morzu; nie zapomina przytem i o lądzie.

Republikanie amerykańscy ustawili nareszcie u siebie posąg Fryderyka II, darowany im przez ces. Wilhelma. Nie trzeba mieć przesądów: Fryderyk był wielkim, a wielkość pokrywa nikczemność. Ces. Wilhelm podziękował prezydentowi; prezydent uczuł się szczęśliwym, że mógł na podziękę zasłużyć.

Układy o traktat handlowy między Prusami a Austryą po całomiesięcznem poceniu się p. Posadowsky'ego w Wiedniu, w chwili jego odjazdu przedstawiały się niewesoło. Prawdopodobnie Niemcy wypowiedzą traktat dotychczasowy. Idzie głównie o woły (węgierskie) i dozór weterynaryjny.

W Salonice znaleziono bomby.

Na Węgrzech Tisza się chwieje. W czwartek i piątek zeszłego tygodnia huczała burza w uniwersytecie peszteńskim. Policya wtargnęła do gmachu, rozbijała, porywała, tłukła. Jest wielu pokaleczonych.

W Wiedniu w Izbie pustki. Na ulicach demonstracye przeciw Luegerowi o zamierzoną szkołę wyznaniową. Słynny burmistrz chce wytworzyć gwardyę municypalną.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Choń-dzon umarł bezdzietnie; wdowa-matka wybrała na następcę tronu prawnuka, zabitego przez ojca księcia Dzan-hoń (w 1728 r.). Młodego monarchę, Cziöl-dzon, ożeniono z dziewczyną z rodu Kim, dzięki czemu ten ród zachował w dalszym ciągu swój wpływ. Za jego panowania Anglia i Francya daremnie kołaczą za pośrednictwem Japonii do rządu Korei o otwarcie granic dla ich handlu. Cziöl-dzon również umiera bezdzietnie i w roku 1863, po długich walkach trzech wdów królewskich, ubiegających się o „prawo pieczęci królewskiej", zostaje królem obrany przez najstarszą z matek Dzo, dwunastoletni Ik-sion, panujący obecnie, syn księcia I-ha-yn, też wnuka wspomnianego powyżej Dzan-non'ia. Zręczny, przebiegły i stanowczy I-ha-yn uzyskał tytuł Tan-uoń-gun'ia *), przyjął zaszczytne imię Chyn-siön i zwolna za pośrednictwem małoletniego syna i starej Dzo, której umiał schlebiać, owładnął rządami państwa. Z usposobienia był to despota, nienawidzący chrześcian i cudzoziemców. Zrozumiał on jednak, że głównem źródłem słabości politycznej Korei jest bezrząd, gwałty i złodziejstwa jań-baniów. Więc, w celu wzmocnienia władzy królewskiej, podjął zaciętą walkę z nimi, a przede wszystkiem z wszechwładnym rodem Kim. Piętnastoletniego syna swego ożenił z córką swego szwagra (Miń-czi-rio-ka), ubogiego naczelnika powiatu z rodu Miń, co pozwoliło mu się oprzeć w swej walce na tym rodzie i było początkiem wywyższenia Miniów. Zmian zasadniczych w urządzeniach państwowych Tän-uoń-gun nie wprowadził, zburzył jedynie świątynie Sławy w całem państwie (z wyjątkiem 48) i spalił tablice pamiątkowe „znakomitych przodków," na których opierały się przywileje wielu rodzin szlacheckich. Większe znaczenie miało wprowadzenie przezeń podatku „ho-bo" (podymnego), w miejsce dawnej, wojennej daniny pogłównej, płaconej wyłącznie przez lud prosty. Ho-bo płacą niby wszystkie stany, prócz *urzędników*. Właściwie więc mało co się zmieniło *), lecz lud został cokolwiek ugłaskany i pozyskany nadzieją dalszych reform. Tän-uoń-gun jednak nie spieszył się z niemi; przeciwnie wszczął okrutne prześladowanie chrześcian, którzy uchodzili za głównych stronników zmiany. W roku 1866 został stracony biskup Berneux i wielu misyonarzy, rząd francuski wysłał 7 wojennych okrętów pod wodzą admirała Rose z żądaniem zadośćuczynienia. Dwie łodzie działowe weszły w ujście rzeki Chan-hań i podpłynęły do Seulu, jednocześnie Francuzi zdobyli małą twierdzę i miasto na wyspie Kan-hoa, ale niezdołali wziąć na lądzie obronnego klasztoru, obsadzonego wojskiem i „tygrysimi strzelcami." Cofnięcie się Francuzów a następnie bezkarne wymordowanie załogi i spalenie statku amerykańskiego „General Sherman" upewniło ostatecznie rząd korejski w jego nietykalności, gdyż egzekucyjna eskadra amerykańska admirała Rogersa również cofnęła się po zburzeniu fortów w Kan-hoa. Lecz przymusowe otwarcie granic chińskich dla Europejczyków, a głównie rewolucya w Japonii stworzyły i w Korei prądy, dążące do zmian i zawiązania stosunków z Europą. Zdaje się, że na czele ruchu postępowego stanął, prześladowany naówczas przez Tän-uoń-

*) Tän-uoń-guń — zwykły tytuł ojców królewskich, niesprawujących rządów.

*) Tego podatku, gdyby opłacały go wszystkie domy, posiadające ogrzewane z dołu pokoje, jak tego wymaga prawo, wpływałoby do skarbu 700,000 dol. (po 0,60 dol. z domu), w istocie jednak daje on zaledwie 278,479 dol. (rok 1900, budżet państwa, dochody).

---

dziej namacalne przedstawienie świata otaczającego i najsubtelniejsze oddanie wdzięków i uczuć stało się dla niej niedoścignioną zdolnością. Nawet tragedya, niegdyś szkoła winy, pojednania i odkupienia, wyrzeka się starej, transcendentalnej maszyny. Z pośród młodszych mistrzów tej sztuki może jednego tylko ożywiało tchnienie nowoczesnej genialności w tworzeniu dzieł, których siła, niezależnie od wszelkiej etyki, zdawała się spoczywać w przejawach przyrodniczych, że tak rzekę, i w samej tragiczności położenia; jego dramaty są raczej szeregiem obrazów tragicznych, niż tragedyami w dawniejszem znaczeniu.

O sztuce muzycznej i architektonicznej wzmiankuję tylko mimochodem. Pierwsza, posłuszna tym samym prawom, przebiegła drogę od ostrości palestrynicznej do spazmu namiętności zmysłowej; druga jest tym samym prawom — prócz tego pewnym właściwościom technicznym — tak całkowicie poddana, że na miano sztuki nie zasługuje, skoro ona dźwigające, podpierające i obciążające pierwiastki wszystkich czasów zniża do malarskich ozdób ściennych.

Tak sztuka została poczęta, zrodzona i twardej ręce oddana. Nie przystoi skarżyć się na ten proces lub potępiać go, gdyż każdy ważny rozwój w naturze zasługuje na uznanie nawet wtedy, gdy reguluje sprawy ludzkie.

. . . .

Historya

Cała historya jest walką mądrych z silnymi. Gdzie ci ostatni występują, tam stają się panami; a gdzie oni panowali, tam musieli powoli, niepostrzeżenie, niechybnie uledz kreciej robocie swoich słabych i mądrych poddanych. Wytrwałość, haniebna cierpliwość, wciąż odradzający się nadmiar były po stronie słabych. Siła panowania, łączność, poczucie szlachectwa i dziedziczność tradycyj stanowiły zbroję silnych. Gdzie panowali silni, tam istniała karność, surowa dzielność, niekulturalność; gdzie rządzą słabi, tam krzewi się panowanie gadaniny i trybuństwa, zepsucie i uganianie się za rozkoszami. Rządy silnych upadają, skoro tylko uda się uciśnionym atmosferę ducha napełnić swem tchnieniem: tak upadł Rzym po powstaniu chrześciaństwa, Francya po wieku oświecenia. Dlatego też zadaniem ludzi silnych jest trzymać ducha publicznego we wstrzemięźliwości.

Dziś runął świat przygód i niebezpieczeństw, walki i zdobyczy, waleczności i panowania przemocy. Nasz świat jest związkiem wytwórczości, warsztatem, żywym mechanizmem. Siła rąk nic już nie znaczy wobec koła obrotowego i płyt pancerzowych; wyniku układów ekonomicznych i politycznych nie rozstrzyga męztwo i myśl; cnota władców i postawa nie znajdują w kuryach i na rynkach uznania. Siłą naszych czasów jest liczba; nie znamy zwycięztw, tylko powodzenia; nawet w wojnie praca znaczy więcej, niż śmiałość. Złymi środkami powodzenia są umiejętności: to jest cierpliwość; praca: to jest służalczość; przezorność: to jest strach; usiłowanie: to jest celowość. Nagrodą powodzenia są rozkosze i odznaczenia. Dlatego dzisiejszy czas jest złotym wiekiem ludzi celu.

Nastąpiła nowa epoka, gdy na gruncie europejskim zaczęły się roić wyswobodzone rasy, wyzwoleni poddani, obywatele uniezależnieni. Ogromne liczbą, bezmierne w uroszczeniach nowe społeczeństwo musiało być żywione, ubierane i utrzymywane nowymi środkami. Handel, przemysł i technika potrzebowały milionów rąk i rozdzielały miliony pozbawionych szczęścia. Musiała więc zblednąć wszelka powaga, a zatryumfować myśl liberalna z hasłami: „My to też umiemy," „nie jesteśmy gorsi." I jednocześnie z otrzymaniem przewagi demosu nad prawowitością, kapitału nad feudalizmem, na zwrocie XIX stulecia, które może się nazwać mieszczańskiem, mądrzy zwyciężyli silnych.

Czy więc na przyszłość świat ma zostać dziedzictwem mądrych? Czy berło ma przejść w ręce nieszlachetne, które po nie tak skwapliwie sięgają i tak je słabo dzierżą? Tak się nieraz wydaje; a jednak nie mogę zdecydować się na wiarę w taką przyszłość beznadziejną.

Tylko w ucisku mądrzy byli jednością silni; już liczni tłoczą się i zwalczają wzajemnie, podczas gdy zabiegliwość i trzeźwy rozum tracą wartość. Już nawet w najma-

gun'ia, ród królowej Miń, dążący do władzy. W 1872 roku król dosięga pełnoletności i za namową swej ambitnej małżonki usuwa od rządów wszechmocnego dotychczas ojca. Walka o wpływy zaczyna się toczyć dokoła zagadnień polityki zagranicznej. Młody król chwiał się i początkowo odmówił nawet przyjęcia posła japońskiego, który przybył z żądaniem wznowienia daniny, przerwanej w 1811 r. i przyznania protektoratu Japonii. Japończycy pozornie ustąpili, lecz gdy w 1875 r. jeden ze statków japońskich został powitany strzałami z twierdzy Kan-hoa, wysłali poselstwo do Pekinu z zapytaniem: jakie stosunki łączą Chiny z Koreą i kto odpowiada za jej zachowanie się? Jednocześnie flota japońska pod dowództwem Kurody Kiotaku zawinęła do ujścia r. Hań. Chiny, któremi Korea, jako wasal, zasłaniała się zwykle w stosunkach z obcemi państwami, na stanowcze pytanie Japonii oświadczyły, że zgoła nie odpowiadają za postępki Korei i nic nie mają przeciw zawarciu japonsko-korejskiego traktatu handlowego. W rezultacie stanęła umowa (26 lutego 1876 r.), mocą której Korea obowiązywała się otworzyć dla handlu japońskiego jeszcze dwa porty oprócz Fezanu, Genzan i Czemulpo. W maju tegoż roku udało się do Japonii pierwsze poselstwo korejskie, przyjaźnie i uroczyście przyjęte. Zawiązały się między obu narodami i następnie całym światem nowe, odmienne stosunki. Ale Korea bardzo niechętnie wypełniała swoje zobowiązania. Poseł japoński w Seulu Chanabuza musiał osobiście wyznaczyć miejsce dla kolonii japońskiej w miasteczku Iń-cziń (obecnie Czemulpo), co nastąpiło dopiero w 1880 r., a jeszcze w 1882 r. zwolennicy „starych obyczajów“ z Tan-uoń-gun'iem na czele żądali zerwania traktatów i wypędzenia Japończyków oraz cudzoziemców. Zdarzyło się jednak, że wykryto w tym czasie spisek na życie królewskie, uknuty przez partyę konserwatywną, wskutek czego nietylko traktat z Japonią nie został zerwany, lecz zawarto umowę z Ameryką i rozpoczęto wstępne rokowania z Anglią i Niemcami. Chiny pozornie sprzyjały otwarciu granic półwyspu, szukając w tem przeciwwagi dla wzrastającego znaczenia Japonii; jednocześnie prowadziły intrygi na swoją rękę. Tan-uoń-guń oraz wroga wszelkim „nowościom“ partya niedały również za wygraną. Gdy w r. 1882 zabójcza susza nawiedziła kraj, urzędnicy tłomaczyli ciemnemu ludowi, że to kara niebios za naruszenie „starych obyczajów“, za stosunki z „zamorskimi dyabłami“. Wybuchły rozruchy, do których przyłączyły się i wojska seulskie, podrażnione zmniejszeniem porcyj ryżowych. Podczas modłów uroczystych o deszcz 23 lipca stronnicy Tan-uoń-gunia sprobowali pochwycić króla, a gdy im się to nie udało, rozpuścili wśród wzburzonych tłumów pogłoskę, że Japończycy obsaczyli pałac i wzięli w swą moc króla i królowę. Motłoch rzucił się na poselstwo japońskie, spalił je, następnie zburzył domy ministrów, sprzyjających zmianom. Trzy dni trwały zamieszki, zanim, oblegany wdzielnicy swej, poseł Chanabuza z resztą Japończyków zdołał przebić się z szablą w ręku do Czemulpo, uprowadzając kobiety i dzieci.

Zamiary Tan-uoń-gunia zupełnie się powiodły, rządy znowu znalazły się w jego ręku. Król, królowa oraz dwaj pierwsi ministrowie z rodu Miń, Miń-thä-ho i Miń-jön-ik ratowali się ucieczką do twierdzy Cźiun-cźiu (w prowincyi Cźiun-cźion do). Zaczęły się prześladowania i mordy wybitniejszych osób z rodu Miń, gdyż właściwie cała ta rewolucya nie była niczem innem, jak walką dwóch stronnictw urzędniczych o posady i dochody. Najlepiej zarysowało się to w stosunku do Japończyków, którzy niezwłocznie uruchomili swą flotę i zgromadzili znaczne wojsko w Simonoseki i na wyspie Cuszima. Nowy rząd korejski nieomieszkał zadość uczynić wszystkim ich żądaniom, pozornie ukarał winnych, wypłacił 500,000 dol. (jap.) rodzinom zabitych oraz 500,000 dol. (jen) kosztów wojennych i pozwolił wprowadzić do Seulu 200 żołnierzy załogi japońskiej. Tan-uoń-guń udawał nawet wielką przyjaźń dla stanowczych Japończyków i szukał u nich dla siebie poparcia. Za to Chińczycy, którym to się wcale nie podobało, poprzysięgli mu zgubę, zwabili na statek wojenny i wywieźli do Chin, a do Korei natomiast posłali 5,000 wojska, które zajęło Mo-sam-pho. Garnizon chiński w Seulu pod dowództwem generała Ju-ań-szi kaj'a był podwyższony do 3,000 żołnierzy. Do władzy wróciła natomiast królowa Miń i cały jej ród, który, uważając Chińczyków za swych zbawców, zapomniał o pierwotnie postępowych rojeniach i począł wspierać „dobre, stare obyczaje chińskie.“ Nieliczna partya reform znikła zupełnie wśród tej zawieruchy; znaczenie wiernego jej sprzymierzeńca, Japonii, zmalało niezmiernie wobec wojennej przewagi Chińczyków i przybycia przedstawicieli dyplomacyi europejskiej, żądnej udziału we wpływach i zyskach.

Do zaufania królowej wcisnął się rychło Niemiec Mellendorf, polecony jej przez Li-chun-czan-ga i zajął posadę dyrektora komór celnych w portach otwartych dla cudzoziemców.

Ale po za tem reformy nie postąpiły ani kroku. Wsteczna, urzędnicza klika chinofilska po staremu prześladowała zażarcie najmniejszy przebłysk godności ludzkiej lub pragnienia podźwignięcia kraju z upadku. Dyplomacya europejska godziła się z tem, nawet sprzyjała temu, gdyż ciemnota, swawola i bezrząd były źródłem słabości Korei wygodnej dla nich, a przekupstwo jej urzędników i dygnitarzy doskonałem środowiskiem dla intryg o wpływy i koncesye korzystne. Partya reform, która wiele sobie obiecywała od stosunku z Europą, zawiedziona, zwróciła się znowu całkowicie do Japonii i do solidarnej z nią w polityce korejskiej Ameryki. W 1883 r. wyrusza do Stanów Zjednoczonych poselstwo z wpływowym ministrem Miń-jön ik na czele. Wśród członków poselstwa znajdował się utalentowany Kim ok-kiuń, który po powrocie do Korei w 1884 r. został mianowany wiceprezesem, nowo utworzonego ministeryum spraw zagranicznych. Stanął on niebawem na czele maluchnej partyi reform, która straciwszy ostatecznie nadzieję przeprowadzenia jakichkolwiek polepszeń drogą prawną, uciekła się do zamachu stanu. 4 grudnia 1884 r. uderzono w wielki dzwon seulski na trwogę i napadnięto na członków rządu, bankietujących u naczelnika departamentu pocztowego, pana Chon-jön-sik, należącego, jak się zdaje, do spisku. Jednocześnie poseł japoński z oddziałem 150 żołnierzy udał się do pałacu cesarskiego i, opowiedziawszy o wybuchłych zaburzeniach, zaproponował królowi swą opiekę. Straż korejska, w której służyło 14 młodzieńców wychowanych w Japonii i którą

---

teryalniejszych kwestyach paladium powodzenia jest wielka myśl, fantazya i moc twórcza; upór intuicyjny dalej prowadzi przez gęstwinę faktów, niż oględność badawcza; a w zgiełku współzawodniczących siła żywotności depcze bez uwagi karło zwinną skrzętność.

Niedocieczona wszakże, ale potężniejsza niż kiedykolwiek jest siła przymiotów moralnych, które moeni mają z natury a słabi tylko przez rozmyślanie. Nietykalne rządy, wojsko karne, wierni urzędnicy i uczciwi pracownicy — gdzie te podstawy spróchnieją, tam państwo i społeczeństwo jest zgubione.

Przedewszystkiem jednak budzi się tu pół nieświadome poznanie w duszy ludów silnie ukształtowanych. Zazdrosne słowo, że wszyscy do wszystkiego są uzdolnieni i uprawnieni traci swą wartość prawdy. Dziwaczne prądy i ciekawie jednostronne próby prawodawcze są pierwszymi odruchami gromad ludowych przeciw drażnieniom, doznawanym od wszechmądrych. Ale ten mętny instynkt rozpala się wszędzie w jasne zrozumienie i śmiałym błyskiem światła wypłoszy niejedną nocną wyprawę zdobywczą słabych.

Do słabych.

Przyznaję, żem w tej pracy wystąpił przeciw słabym. Może niesłusznie; mianowicie jeśli oni przez Boga i naturę zostali upośledzeni i odtrąceni. Ale nie mogłem postąpić inaczej, gdyż duch mój upoił się zmysłowymi i moralnemi władzami duszy starożytnego Zachodu. A ta nauka zmysłów mówi: człowiek słaby jest brzydki; zaś etyka odpowiada: człowiek słaby jest pospolity.

Gdyby zapytano: „Jakże więc? Czyż słaby, człowiek bojaźni i celu nie może nigdy osiągnąć dumnej świadomości samego siebie, spokoju i wybawienia?“ — to musiałbym przedewszystkiem pytanie ograniczyć, jako dotyczące mniejszości, gdyż większość ludzi słabych nie potrzebuje tego błogosławieństwa, nawet niem gardzi. Lekceważą oni inny ród i nazywają go prostodusznym, tak samo, jak on znowu ich mianuje podstępnymi i pogardza nimi.

Ci liczni nie ubiegają się o szczęście duszy i spokój, tylko o rzeczy, które im się wydają szczęście i błogość dającemi. Gdyby Bóg im powiedział: Ja wam dam szczęście serca, to by mu odpowiedzieli: Nie, daj nam to i to, a będziemy szczęśliwszymi, niż Ty byś nas uczynił.

Gdyby jednak niektórzy przez uświadomienie samych siebie popaść mieli w zwątpienie i nędzę — a niema większej nędzy nad nienawiść swojej własnej istoty i krwi — to mam dla nich dwie odpowiedzi: Popierwsze: z przyrodzenia należycie do zaprzeczających świata i pesymistów. Jeśli zaś świat jest piekłem dla stworzeń niewinnych, a istnienie niewolnictwem nigdy niepodległych, to jedna jest tylko hańba: dobrowolne spożywanie zrzadka rozrzuconych radości, zwijanie się w rozkoszy pod oczami pogromców i w sytej uczcie wdzięczne uznawanie służalstwa. Jedno tylko szlachectwo możecie osiągnąć — szlachectwo przeczenia, wyrzeczenia się, bólu i łez. I kto wie, czy w blasku wieczności to szlachectwo nie jest większem, niż wśród niewolników czuć się silniejszym, mężniejszym i szczęśliwszym.

Powtóre: wola człowieka jest niezmiernie silna, tak silna, mówią scholastycy, że bez miecza zabić może; tak silna, wiecie o tem, że ona nieraz umie ukształtować formę ciała i z gruntu zmienić formę duszy.

Nigdy wam też woli nie brakowało. Więc chciejcie pojąć i uwierzyć, że wszystko, co się da zdobyć i osiągnąć jest cieniem, prochem, widmem; wówczas zrozumiecie, że wszelkie posiadanie, potęga, odznaczenie, zaszczyt i sława są tylko gnuśnem ukojeniem i radością w zazdrości. Wierzcie w to i wiedzcie o tem, a będziecie wolni od strachu i do szczęśliwych podobni. Kajdany opadają, mury domu niewolników walą się, i świat się rozszerza w słoneczny ogród u stóp waszych.

Gdyby kto szydzić chciał, że chwalę wychowanie bezprzesądności, drugie dzieciństwo i naiwność serca, to powołuję się na imię przepotężnego, jego doświadczenie i jego słowo, zapisane u Mateusza 18, 3.

dowodził spiskowy Chan-gin-czik nie stawiła oporu żołnierzom japońskim. Kim-ok-kiun wysłał niezwłocznie rozkazy do ważniejszych osobistości z partyi konserwatywnej, aby przybyli do króla. W miarę, jak przychodzili, tracono ich niezwłocznie wschodnim obyczajem. Zgładzono w ten sposób około 11 osób. Konserwatyści wszelako zdążyli uwiadomić o zajściu Chińczyków, i generał Juań z półtora tysiącami żołnierzy chińskich i 3,000 korejskich wpadł do pałacu, gdzie rozpoczęła się zacięta walka, zakończona ucieczką spiskowców i Japończyków. W samem mieście wybuchły poważne rozruchy. Tłum pod wodzą urzędników rzucił się na domy stronników reform i Japończyków, palił, rabował i zabijał. Zginęło 74 Japończyków w tej 35 żołnierzy, zabitych w pałacu. Spłonęło znowu poselstwo japońskie, a oni sami cofnęli się do Czemulpo, jak niegdyś, zabrawszy czterech głównych spiskowców, w ich liczbie wspomnianego powyżej Kim-ok-kiunia. Zamach dzięki Chińczykom nieudał się i zwycięzka partya chinofilska święciła tryumf straceniem w odwet 12 uczestników spisku, których torturowano, następnie poćwiertowano, a ciała ich i kości rozrzucano po ulicach stolicy.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE

List z Wiednia.

w końcu listopada.

Parlament znowu otwarty. Przepraszam za wyrażenie, ale parlament austryacki robi na mnie, szczególniej teraz, wrażenie wysypki. Dlatego, że jak w wysypce, wychodzą tu na wierzch i na jaw wszystkie wewnętrzne obrzydliwości tego organizmu państwowego. Jedną z najobrzydliwszych jest szowinizm, a szczególniej szowinizm niemiecki. Niewątpliwie, wszelki jest wsteczny i wstrętny, wszelki zaślepia i przynosi szkodę, ale jeśli jeszcze można usprawiedliwić do pewnego stopnia szowinizm narodów krzywdzonych, uciskanych — nieposiadających tego, co się każdemu na świecie należy, i walczących o te dobra — szowinistami są przecie bez zaprzeczenia Węgrzy, Czesi, szowinistami, i to czasami niemożliwymi, są Rusini galicyjscy — to szowinizm narodów, panujących nad innymi i przez nikogo nieuciskanych, jest bezwarunkowo jednem z najohydniejszych uczuć ludzkich i zjawisk politycznych. Na całym świecie nikt może tak w nim nie celuje, jak Niemcy.

Mówi się zawsze tylko o hakatystach pruskich, najczystszych istotnie typach wilków, rozdzierających zdobycz nie bez strachu coprawda o przyszłość, ale w każdym razie bez skrupułów, dlatego, że zdobycz jest rozbrojona i obezwładniona. Ich teorye, ich odczuwania są pomnikami brutalności ludzkiej, ale między żądaniami i środkami jest pewna harmonia: są to bestye mocne, które wywołują w nas oburzenie, wstręt, gniew — ale nie litość pogardliwą. Mieszczaństwo niemieckie w Austryi w niczem pod względem *pożądań* hakatystycznych nie ustępuje swym pobratymcom pruskim, ale pozbawione jest ich środków działania. Był czas, kiedy Niemcy w całem państwie Habsburgów byli narodowością panującą, z czego ciągnęli wielkie korzyści materyalne. Naturalny, nieunikniony i niczem niedający się powstrzymać rozwój XIX i naszego stulecia, sprawia, że Węgrzy, Polacy, Czesi, Włosi, Chorwaci, Słoweńcy itd. rozciągają skrępowane członki, odzyskują pozycye, z których niegdyś byli przez Niemców wyparci, zdobywają tylko to, co im się należy. Ale tem samem „stan posiadania" Niemców zwęża się, zwężać się musi. Każdy rozsądny i sprawiedliwy Niemiec musi to uznać, jak konieczność dziejową i rzecz, bynajmniej niezagrażającą rzeczywistej pomyślności i wielkości narodu niemieckiego. Ale mieszczaństwo dla takich idei nie jest dostępne. Ono w tym procesie dziejowym widzi tylko zmniejszenie się ilości posad urzędniczych i oficerskich, które jeszcze nie tak dawno były wyłącznym monopolem obiecującej młodzieży niemieckiej. I robi z tego sprawę narodową, chciałoby proces dziejowy powstrzymać. Niemcy ci są w gruncie rzeczy najmocniej przekonani, tak samo jak ich bracia pruscy, że wszystkie inne narodowości są *minderwerthig*. Ale ponieważ nie posiadają tych środków uciskania, które mają tamci, ponieważ nie czują bezwzględnego poparcia monarchy krzyżackiego, więc ich oburzenie, ich opozycya, ich buta i pretensye nietyle gniewają, co wywołują uczucie pogardy.

O cóż tym panom teraz idzie? Aż o trzy ogromne naruszenia ich „stanu posiadania." Wyrobili oni sobie specyalną teoryę, mającą pozory sprawiedliwości. Oto w Austryi każda narodowość powinna być równouprawniona, to znaczy, że rząd nie powinien żadnej krzywdzić, utrudniać rozwoju, naruszać stanu posiadania — chyba za zgodą zobopólną. Co to znaczy w rzeczywistości? Ponieważ wszystkie narodowości w Austryi były uciśnione i dotychczas nie osiągnęły tego, co im się z prawa należy, a narodowość niemiecka rządziła całem państwem i miała więcej, niż inne, więc ta sprawiedliwa teorya oznacza poprostu — utrwalenie tego niesprawiedliwego stanu rzeczy. Gdy np. w urzędach w Czechach wprowadza się język czeski, to narusza się stan posiadania niemiecki, a więc niedopuszcza się faworyzowania jednej narodowości przeciw drugiej! Dr. Körber skwapliwie przyjął tę teoryę, pozwala mu ona wykręcać się przed Czechami, żądającymi urzędowego języka czeskiego i drugiego uniwersytetu czeskiego na Morawach. Ale jednak był zmuszony w ostatnich czasach trzy razy od niej odstąpić; a rzecz oczywista, ilekroć w Austryi przedsiebierze się cokolwiek w sprawie narodowościowej to zawsze na niekorzyść Niemców. Stąd gniewy.

Najmniej ważna z tych spraw — to dopuszczenie do służby rządowej Chorwatów, którzy ukończą wydział prawny w uniwersytecie chorwackim w Zagrzebiu. Cóż nad to sprawiedliwszego? Ludność chorwacko-słoweńska potrzebuje koniecznie urzędników, znających jej mowę. Żaden Niemiec naturalnie takich „barbarzyńskich" języków się nie uczy. W granicach Austryi-Przedlitawii uniwersytetu chorwacko-słoweńskiego niema, i gdyby go chciano założyć, toby dopiero wrzasku narobili Niemcy! O miedzę, w Chorwacyi węgierskiej, sztucznie oddzielonej od austryackiej, jest uniwersytet narodowy; cóż dziwnego, że państwo chce z jego pomocy skorzystać. Ale Niemcy hałasują, że to nadużycie i upokorzenie, że „zagraniczny" i „mniej wartościowy" uniwersytet zrównywa się w prawach z — niemiecko-austryackimi. Gdy chodzi o wojsko czarno-żółte, wtedy „Zalitawia" nie jest zagranicą, a kto tak mówi— jest zdrajcą.

Najtragiczniejsza jest sprawa insbrucka, sprawa uniwersytetu włoskiego. Oddawna Włosi, uznani przecież przez samych Niemców za równych im pod względem kultury, domagają się uniwersytetu w Tryeście i autonomii dla włoskiej części Tyrolu. Co do uniwersytetu, rząd boi się, aby się nie stał siedliskiem irredentyzmu, więc chce się wykręcić austryackiem „prowizoryum": fakultetem włoskim w stolicy Tyrolu, Insbruku. Niemcy twierdzą, że to grozi niemieckiemu miastu niebezpieczeństwem zwłoszczenia! Przecie sami udaremnili podział „książęcego hrabstwa" Tyrolu na dwie części, włoską i niemiecką; więc jeśli Tyrol jest jeden i wspólny, jeśli Włosi stanowią 45% jego ludności, jeśli Insbruk jest jedyną stolicą kraju, jeśli wreszcie Niemcy chcą być u siebie w Bozen, to i Włosi muszą czuć się u siebie — w Insbruku! Gadaj zdrów, logika szowinisty gorsza jest od znanej, murzyńskiej; mówi ona: dobrze jest, jeśli ja komuś zabiorę żonę, ale źle, nie już, gdy ktoś mnie zabierze moją, lecz gdy ośmiela się pragnąć odebrać ode mnie swoją żonę. Więc: Precz „Welsze" z Insbruku! I gromadnie grożą studentom włoskim, którzy posuwają się także do niesłychanego czynu nienawiści: walą z rewolwerów w tłum. Wtedy ich się zamyka, a tłum niemiecki — *inteligentny*, nie robotniczy — w biały dzień burzy budynek fakultetu włoskiego. Przytem wysyła się wojsko przeciw tłumowi; i tu dopiero wychodzi na jaw— niby trąd — cała mądrość wojskowej polityki habsburskiej: żołnierz, który bagnetem przebija malarza-Niemca na ulicy Insbruku, jest — Włochem; oficer, który prowadzi oddział włoskich strzelców do ataku na ludność niemiecką—Polakiem (nazywa się Naganowski), pułkownik — Chorwatą, a komendant korpusu — arcyksięciem... Teraz dopiero zaczyna się orgia szowinizmu. Studenci niemieccy we wszystkich uniwersytetach żądają wyrzucenia bez sądu wszystkich winnych, czy niewinnych, studentów włoskich, którzy manifestacyjnie pojechali do Insbruku. Dotychczas głosili oni zawsze, że nie chcą tylko, żeby uniwersytet włoski był w mieście niemieckiem, lecz w zasadzie nic nie mają przeciw niemu. Teraz oświadczają, że „Welszom" wogóle uniwersytet się nie należy. Bo chodzi znów o pewną ilość posad dla niemieckich karyerowiczów.

Po Chorwatach i Włochach mamy i my swój rachunek. I nam, zarówno jak Czechom, musiał rząd nareszcie zrobić dawno należne i jeszcze niewystarczające ustępstwo: zaprowadzić równoległe klasy polskie i czeskie przy seminaryum nauczycielskiem na Śląsku. Cóż to za straszny gwałt narodowości niemieckiej, że dzieci polskie nie będą już w szkole elementarnej germanizowane! Jaka to obelga! Jakie niebezpieczeństwo dla państwa! Proszę przeczytać mowę burmistrza Demela: co tam nienawiści, co denuncyacyi na temat pochodzenia pieniędzy składkowych na gimnazyum i seminaryum nauczycielskie, polskie w Cieszynie! Obiecują je potraktować tak samo, jak „dzielni" insbruczanie potraktowali fakultet włoski. Czemu? bo znowu idzie o trochę posad.

Na napaści Demela odpowiedzieli dwaj posłowie polscy, pp. Michejda i Petelenz, trzeba przyznać, odpowiedzieli dobrze, nie zaprzeczając Polakom z innych dzielnic prawa do niesienia pomocy Ślązakom. Prof. Petelenz bardzo słusznie jeszcze zaznaczył, że my nie mamy takiego szowinistycznego usposobienia względem Niemców, że chętnie uczymy się ich języka, że młodzież polska gotuje się do uroczystego obchodu stuletniej rocznicy śmierci Schillera — piewcy walczących o wolność Szwajcarów.

Gdyby tylko ta młodzież równie mało okazywała szowinizmu względem — Rusinów!...

Natomiast nowo wybrane prezydyum Koła polskiego, jego reprezentacya urzędowa postarała się jak najprędzej pokazać światu swą niezmienną reakcyjność i służalczość. Pan Dawid Abrahamowicz (od niego zaczynynamy, bo choć obrany wiceprezesem, jest jednak faktycznym kierow-

nikiem Koła), który był prezesem izby w r. 1897, kiedy przyjęty został wniosek hr. Falkenhayna przeciw lewicy i hr. Badeni wkroczył do izby na czele policyantów, pośpieszył telegraficznie powinszować węgierskiemu prezesowi, hr. Tiszy, podobnego gwałtu, dokonanego nad obstrukcyą. Wszyscy się z tego śmiali, a Tisza musiał kląć w duszy nieproszonego przyjaciela, bo dla ministra węgierskiego niema przecie nic niedogodniejszego nad powinszowanie z Austryi, podające go w podejrzenie z punktu widzenia narodowego. A hr. Dzieduszycki, prezes dekoracyjny, nieomieszkał złożyć kilku pokłonów przed najgłówniejszym ołtarzem i przedstawić Polaków, jako wierną gwardyę, obronę od złowrogich Pernerstorferów.

Bo czyż to nie nowożytni „niewierni?" Hr. Dzieduszycki w asystencyi kilku innych ekscelencyj niedarmo przecież jeździł w niedzielę na Kahlenberg, aby uświetnić swą obecnością odsłonięcie nowej tablicy pamiątkowej na cześć Jana Sobieskiego, zbawcy Wiednia od Turków; hr. Dzieduszycki czuł się może przed ołtarzem pamiątkowym — tak potrzebnym Habsburgom, jak był Sobieski. Niemcy zapuścili pamiątkowy ołtarz i kościół, na żadnem miejscu nie wznieśli pamiątki zbawcy Wiednia i jego rycerstwu. Przyszli poczciwi Polacy z rzeźbiarzem-ofiarodawcą (p. Kuleszą), kaplicę uporządkowali, odnowili, odmalowali, tablicę wmurowali, żeby oglądający to miejsca nie miał przed oczami wymownych dowodów — wdzięczności wiedeńskiej... No, i naturalnie całej tej uroczyści nadali tak czarno-klerykalny charakter, jak tylko zgodzić się może z błogosławieństwem arcybiskupa Bilczewskiego. Słuchało się wojowniczego księdza, z gestami boksera, wykrzykującego z ambony: „Wołając: Marya! rąbali rycerze w prawo i w lewo; wołając: Allach! padali Turcy!" patrzyło się na błogie twarze „skromnego mieszczaństwa" (wyrażenie księdza), zasłuchanego w tę „bohaterską" opowieść, i miało się ochotę powiedzieć:

— Prawda! Wiarą zwyciężali nasi praojcowie. Ale ten wymowny kapłan nie powiedział wszystkiego, nie odmalował całej siły, całej konsekwencyi wiary ówczesnych ludzi. Mówił tylko, że Bóg nie lubi ciepłych, umiarkowanych. Tak, rycerze ówcześni nie byli ciepli, byli konsekwentni. Królowi Janowi dała Opatrzność świetne zwycięztwo, i on nie zawahał się w nagrodę — zapalić Jej stosu Kazimierza Łyszczyńskiego. Była więc łaska Boża nad tym narodem. I jeśli chcecie, żeby była nadal, jeśli chcecie żyć w duchu praojców i w duchu kaznodziei — bądźcie żarliwi, bądźcie konsekwentni, palcie jeśli nie Łyszczyńskich (bo tego dziś nie wolno), to przeklęte dzieła oświaty i idei. „Z okrzykiem: Marya! rąbcie w prawo i w lewo, a z okrzykiem Allach! padać będą niewierni.

H.

ABOLICYONIZM.

(Podług artykułu p. H. Block w *Neue Zeit.*).

Kapitalizm nie stworzył coprawda prostytucyi, lecz zrobił z niej zjawisko masowe. Energiczna reforma społeczna, która ochrania pracę i zabezpiecza od najgorszego wyzysku, może zmniejszyć prostytucyę, usunie ją jednak dopiero społeczeństwo, które zapewni każdemu byt, a więc zniesie ekonomiczne podstawy prostytucyi.

Uznawszy prostytucyę za nieuniknioną, w dzisiejszym społeczeństwie, zależy nam jednak na tem bardzo, żeby państwo nie pogarszało przez fałszywe rozporządzenia tego „zła nieuniknionego" choćby ze względu na ogromne niebezpieczeństwo, zagrażające ludzkości pod postacią chorób wenerycznych, i nie możemy patrzeć obojętnie na sposoby, któremi ono posługuje się wobec prostytucyi.

Ma dla niej regulaminy. Stawia prostytutki w warunkach wyjątkowych, odbiera im niemal wszystkie prawa obywatelskie, zmusza do poddawania się peryodycznym badaniom zdrowia i do leczenia w razie choroby. W ten sposób chce ograniczyć szerzenie się chorób wenerycznych a jednocześnie ochrania „przyzwoitość publiczną" szeregiem przepisów, które prawie znoszą swobodę ruchu prostytutek. Ten system wywołuje pogoń policyjną za ukrywającemi się kobietami publicznemi i wszystkie jej skutki poboczne: nadużycia policyantów „obyczajowych," denuncyacye i straszne niebezpieczeństwo wtrącenia w brud prostytucyi publicznej niejednego dziewczęcia, które tylko wyjątkowo uległo pokusie, by zaspokoić głód sprzedaniem swego ciała. Prócz tego bezwzględny system policyi, częstokroć przekraczając granicę bezpośredniego przymusu skazuje na nierząd publiczny kobietę, która oddała się z miłości.

Dlatego, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że system policyjny jest nader zgubny i musi być energicznie zwalczany. Trudnem jest natomiast rozwiązanie pytania, czem ma być zastąpiony.

Znając stosunki społeczne, nie możemy widzieć skutecznych środków przeciwko prostytucyi w kazaniach moralnych lub w kryminalnem jej prześladowaniu. Pozostają dwie drogi: abolicyonizm lub nowa reglementacya. Pierwszy zamierza usunąć wogóle państwową regulacyę prostytucyi, drugi polepszyć ją, zreformować w duchu humanitarnym.

Dążenia abolicyonistyczne uwydatniły się dobitnie na kongresie drezdeńskim międzynarodowej federacyi zniesienia prostytucyi regulaminowanej. Federacya ta, jak to już pisaliśmy w nr. 42 *Prawdy* istnieje od r. 1875. Ruch abolicyonistyczny rozpoczął się pod koniec lat sześćdziesiątych w Anglii. Założycielką jego była kobieta, p. Józefina E. Butler, która pod działaniem pobudek religijnych nawoływała naród angielski do wojny krzyżowej przeciwko instytucyi hańbiącej kobietę i znalazła licznych zwolenników, którzy, bezustannie wzrastając w liczbę, obalili wreszcie reglementacyę w Anglii. Prawo zostało w r. 1883 zawieszone, w r. 1886 ostatecznie zniesione.

W Niemczech pierwsze początki ruchu abolicyonistycznego są związane z nazwiskiem pani Guillaume-Schack, demokratki społecznej, która rozpoczęła swą agitacyę w r. 1880. Trwałych rezultatów ona nie dała. Towarzystwa, które zwracały się wyłącznie do sfer mieszczańskich, odłączyły się od założycielki i wreszcie znikły.

Dopiero oburzenie wywołane pod koniec lat dziewięćdziesiątych licznemi i jaskrawemi nadużyciami policyantów „obyczajowych w różnych miastach niemieckich, przyczyniło się do ponownego ożywienia ruchu abolicyonistycznego. Na czele tych dążeń stoi w Niemczech lewica mieszczańskiego ruchu kobiecego, w innych krajach, w których federacya zdobyła grunt, jest pewnie to samo. Przynajmniej tak sądzić każą ustawy federacyi, w których czytamy: „Obarczając tylko kobietę prawnemi konsekwencyami wspólnego aktu, państwo szerzy zgubną ideę, że dla każdej płci jest inna moralność." Czytamy dalej, że federacya zwalcza reglementacyę, jako błąd hygieniczny, niesprawiedliwość społeczną, potworność moralną i formalne przekroczenie wszelkiego prawa. Federacya potępia „z jednej strony wszelkie prawa wyjątkowe, stosowane pod pozorem policyi obyczajowej; z drugiej twierdzi, że państwo obala pojęcie odpowiedzialności — podstawę wszelkiej moralności — starając się przez osobną instytucyę stworzyć dla mężczyzny pewność i nieodpowiedzialność w niemoralności." Ponieważ „zwyczajny fakt prostytucyi osobistej jest sprawą sumienia i nie zawiera żadnego przestępstwa prawnego," przeto federacya oświadcza, że tu udział państwa powinien się ograniczać do karania kryminalnych objawów prostytucyi, jak np. niemoralności wobec niepełnoletnich, rajfurstwa, sprzedawania dziewcząt, naruszenia przyzwoitości publicznej itd. Rozporządzenia wydane w tym kierunku należy stosować i do mężczyzn, i do kobiet. W każdym wypadku, w którym rajfurstwo podlega prawu, należy pociągać do odpowiedzialności tych, którzy płacą pośrednikom i korzystają z ich rzemiosła." W art. 6 ustawy czytamy: „Oprócz kwestyj, które mają bezpośredni związek z celami federacyi, studyuje ona prostytucyę naukowo, stara się o stałe, dokładne badanie obyczajowych, ekonomicznych i innych podstaw zła oraz skutków jego i dąży do ich usunięcia."

Praca ta przekonała niejedną z feministek, czynnych w ruchu abolicyonistycznym, że główna podstawa prostytucyi tkwi w stosunkach ekonomicznych i, że wszelkie zabiegi przeciw niej, które nie chcą być sportem i zabijaniem czasu, muszą być walką o polepszenie warunków bytu klas pracujących i o emancypacyę kobiet. Myśl ta nie uwydatnia się jeszcze w całym systemie dowodzenia abolicyonistek. Bądź co bądź należy stwierdzić, że gorliwe badania sprawy prostytucyi otworzyły tym feministkom oczy na braki społeczeństwa dzisiejszego. Tak np. pisze Katarzyna Scheven w broszurze; „Dlaczego federacya nie uważa prostytucyi za przestępstwo karygodne?"

„Gdzie jest prokurator, któryby pociągnął do odpowiedzialności ladacznicę, okrytą dyamentami lub pędzącą na kołach gumowych? Czyż one stoją wyżej, niż służąca bez pracy, którą niewierny kochanek opuścił z dzieckiem na ręku, niż głodna robotnica sezonowa, która się chce nareszcie choć raz do syta najeść? Obie one prawie z konieczności naturalnej muszą wpaść w ręce prostytucyi. Do istniejącej już niesprawiedliwości płciowej przyłączonoby jeszcze oburzającą niesprawiedliwość klasową. Prawa, stojące w przeciwieństwie do obyczajów, są niebezpieczne. Wpływowi i potężni omijają je, a cały ich ciężar pada na najbiedniejszych i najbezradniejszych."

Dobitniej jeszcze wyraziła się p. Marya Schritt w referacie, wygłoszonym na ten sam temat na kongresie drezdeńskim. Oświadczyła ona, że dopiero zupełna zmiana stosunków społecznych może zatkać źródło, z którego prostytucya czerpie wciąż nowy przypływ, karmiony przedewszystkiem przez industryalizm. Jako najbliższe reformy referentka wskazuje: zmianę zasadniczą stosunków mieszkalnych, rozszerzenie państwowej i gminnej opieki dla młodocianych, rozszerzenie hygieny społecznej (np. bezpłatne leczenie niezamożnych, obarczonych chorobą weneryczną), a przedewszystkiem oswobodzenie kobiety ekonomiczne, społeczne i polityczne. P. Schritt oświadcza, że kryminalne prześladowanie prostytucyi jest nielogicznem, gdyż ona jest nieuniknionym skutkiem dotychczasowego rozwoju kulturalnego, równie jak małżeństwo legalne wynikiem stosunku seksualno-ekonomicznego, zależnego od tegoż rozwoju kulturalnego: *ekonomicznej zależności od mężczyzny*; że niebywałe rozmiary, które obecnie przyjęła prostytucya, są spowodowane przez ekonomiczny i techniczny rozwój nowszych czasów, który zmusił kobietę do walki o byt; wreszcie, że prostytucya może być zmniejszona i zniesiona tylko przez usunięcie powyżej wymienionych pierwiastków zła

przez zupełną zmianę stosunków. Prześladowanie kryminalne jest nieprawidłowem, gdyż tworzy nieuprawnione naruszenie wolności osobistej każdego obywatela; fakt płatnego, pozamałżeńskiego stosunku płciowego dwu osób odpowiedzialnych nie narusza ani praw osób trzecich, ani społeczeństwa. Prześladowanie skierowanoby — ponieważ dla karygodności fakt zarobkowania byłby miarodajnym—wyłącznie przeciwko kobiecie, nie naruszając mężczyzny, który przecież w niezliczonych wypadkach jest winowajcą, we wszystkich współwinowajcą. Po za tem kryminalne dochodzenie nie jest praktycznie wykonalnem, ponieważ ilość przestępstw byłaby zawielką, a żądania męzkie tworzyłyby wciąż nową armię prostytutek.

(D. n.).

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Mocarstwo szóste, czyli kłamiące.

Trzeba przyznać ludzkości, że o swoje ciało troszczyła się zawsze i pilnie. Karmiła je produktami najposilniejszymi i najsmaczniejszymi, okrywała starannie i wytwornie, a o jego zdrowie dbała więcej, niż o cokolwiek innego na świecie. Twierdząc, że w tem ciele przebywa dusza, stanowiąca szlachetniejszą część człowieka, żywiła ją tak, jak ów gospodarz, który nasypał krowom za drabinę wiórów i włożył im zielone okulary, ażeby sądziły, że mają przed sobą liście i trawę. Niektórzy fizyologowie utrzymują, że nasz organizm można by znacznie zredukować, posiadamy w nim bowiem wiele narządów całkiem zbytecznych. Gdyby dusza nie była funkcyą ciała, ale jego organem lub odrębną, osadzoną w niem istotą, proponowałbym, ażeby ją również zaliczono do niepotrzebnych przeżytków naszego ustroju, a nawet żeby ją za pomocą operacyi usunięto. Bo odpowiedzcie mi szczerze: czy na tysiąc ludzi wypada jeden, który pragnąłby ją zachować? Wątpię, natomiast jestem pewien, że 999 odetchnęłoby swobodniej, gdyby się pozbyli obowiązku naładowywania swego mózgu wiedzą, stawiania swych czynów przed trybunałem moralnym, wzruszania się cudzą niedolą, unikania wszystkich przyjemnych szelmostw, które im ciągle zachodzą drogę. Czy może być coś okrutniejszego, niż ten dozorca, kontroler, krótko mówiąc, szpieg, który z rozkazu duszy nieodstępnie chodzi za człowiekiem, ograniczając mu na każdym kroku swobodę i zatruwając rozkosz? Tygrys, spostrzegłszy przed sobą antylopę, rzuca się na nią, dusi, pożera; żaden cień nie staje pomiędzy nim a nią, żaden upiór nie psuje mu trawienia jej wyrzutami, że popełnił okrucieństwo i zbrodnię. Tymczasem ile to dusza spuści ze smyczy ogarów na człowieka, który zechce zjeść jakąś swoją antylopę!

Przeszkadza ona również prasie. Ponieważ i ja także jestem czytelnikiem pism peryodycznych, więc odczuwam waszą dolegliwość. Przypuszczam, że od czasu do czasu spostrzegacie, iż wam jakiś arkusz papieru przynosi nowiny, nieraz mocno związane z waszym umysłem lub sercem a tak fałszywe, że niedokładność jest w nich najmniejszem skażeniem prawdy. Innemi słowy, ten arkusz bezczelnie lub wstydliwie, świadomie lub bezwiednie, celowo lub bezinteresownie — kłamie. Kłamie dlatego, że nie może lub nie chce należycie sprawdzić faktów, dlatego, że nadawszy im zmienioną postać, zbudzi większe zaciekawienie swą opowieścią, dlatego, że przerobiwszy je, osiągnie jakiś osobisty, partyjny lub narodowy cel, dlatego, że fałszowi się wynajął, dlatego, że kłamiąc ustawicznie, nie umie być prawdomównym—jak artysta, który wyćwiczywszy palce w uderzaniu klawiszów fortepianu, nie zagra na strunach skrzypiec. To nas gniewa, ale nie tak dalece, jak krzywda wyrządzona naszemu ciału. Jeżeli dowiemy się, że restaurator, zamiast masła, daje nam w potrawach margarynę, a zamiast cukru — sacharynę, oburzymy się na oszusta strasznie, zerwiemy z nim stosunki, a może nawet zaskarżymy go do sądu. Tymczasem nikt z nas nie zapłonie taką nienawiścią i zemstą, jeżeli wykryje, że prenumerowana przez niego gazeta zamiast prawdy daje mu kłamstwa. Myśl, że nasz czcigodny żołądek może ucierpieć na jakimś niezdrowym pokarmie, jest dla nas okropną; ale myśl, że nasza dusza karmiona fałszem dojdzie do ogłupienia — nie przeraża nas w równej mierze. Trudniej zgodzilibyśmy się na noszenie ciasnych butów, któreby nam obtarły stopy, niż na czytanie bezecnych zmyśleń, które nam wykrzywiają pogląd. Wszystkie organizacye społeczne uwzględniły w swych prawach tę różnicę szkód. Jak one niezmordowanie ścigają i surowo karzą za fałszowanie artykułów spożywczych, a jak pobłażliwie patrzą się na kłamstwa prasy! Sklep, w którym sprzedawanoby masło z tartej marchwi, nie mógłby istnieć przez jedną dobę; ale redakcya, w której sprzedają kłamstwa, może doczekać stuletniego jubileuszu.

Jeżeli niema — a według mnie niema — dziennika na świecie, któryby nie kłamał, to dlaczego my dokonywamy między nimi wyboru? Dlaczego uważamy jeden za lepszy od innych i abonujemy go dziesiątki lat? Poprostu dlatego, że jego kłamstwo jest dla nas najprzyjemniejszem. Mając dwa wprost sprzeczne z sobą opisy bitwy lub wiecu, jestem przekonany, że oba przykrawają prawdę do swoich widoków. Z dwu tedy kłamstw wolę czytać sympatyczne, niż odrażające. Nic na tej zamianie nie tracę, przeciwnie zyskuję. Bo pierwsze daje mi fałsz osłodzony, a drugie gorzki. W czasie wojny francusko-pruskiej życzliwość całego naszego społeczeństwa była po stronie Francuzów. W ich też oświetleniu gazety polskie przedstawiały bieg wojny, zmyślając za nimi jej nieszczęśliwe dla Prusaków zwroty nawet wtedy, kiedy ci już wchodzili do Paryża. Najpoczytniejszym organem prasy jest zawsze nie najbezstronniejszy, nie posiadający najliczniejszy zastęp talentów, ale taki, który kłamie do gustu największej liczby ludzi. Zdarzało wam się nieraz spotykać w dziennikach artykuły, wobec których pytaliście zdumieni: jak można tak bezwstydnie kłamać? Można — i to bez ryzyka. Czy sądzicie bowiem, że ich autorowie odważyliby się na podobny cynizm, gdyby nie byli pewni, że on smakować będzie czytelnikom? Czy np prasa hakatystowska wyrabiałaby przeciw Polakom swoje potwarze, gdyby one nie były łakociami dla jej abonentów? Tegoczesny wydawca-redaktor niczego nie lekceważy bardziej, niż zasad, rozumu, sprawiedliwości i wszystkich sakramentów logiki i etyki, on szanuje tylko interes, osobisty lub zbiorowy, a jeżeli ten interes mu każe, on będzie obdzierał Polaków ze skóry lub pokrywał ich złotą blachą, będzie o tym samym przedmiocie miał tyle zdań, ile znajdzie wykrętów w sofistyce, będzie jeża nazywał Menelikiem 121-ym, a Pompeę — Maryą Stuart. Dla niego wszelkie zgięcie lub złamanie logiki, wszelkie zgwałcenie prawdy, wszelkie zaprzeczenie oczywistości i stwierdzenie nieprawdopodobieństwa jest możliwem, aby tylko było przydatnem.

Z powodu wojny czytamy wiele dzienników zagranicznych, a wiemy z nich to tylko niewątpliwie, że nie ogłosiły ani jednej nowiny prawdziwej; tłomaczymy i drukujemy ich zdania, a bezsprzecznie ani jedno z nich nie było podyktowane bezstronną rzetelnością; zajmujemy się sprzedażą największych gazet angielskich w inne ręce, chociaż to tylko zmieni kierunek ich kłamstw. „Szóste mocarstwo" łże—według przysłowia — jak najęte, bo najęte przeróżnym spekulacyom, niemającym nic wspólnego z prawdą.

Czy śród tylu rozgałęzień i odmian prasy nie byłoby miejsca i powodzenia dla wielkiego organu, któryby służył wyłącznie prawdzie? Zdaje się że nie, bo taki organ, gdyby mu nawet pozwolono istnieć, nie miałby czytelników.

Nasza prasa musiała pójść torem wszechświatowej — to znaczy, że ona również kłamie. Ale ponieważ, na szczęście, jej wpływy i interesy są bardzo ograniczone, więc też jej kłamstwa są małe. Nie mogą przecież nasze pisma czernieniem jakiegoś narodu usprawiedliwić jego zagłady lub podszrubować jakiegoś olbrzymiego oszustwa; mogą one co najwyżej stawiać na swem podwórku papierowe pomniki dla przyjaciół lub gilotyny dla nieprzyjaciół, szturgnąć przeciwnika i włożyć tekturową koronę na głowę sojusznikowi, nazwać głupca mędrcem, mędrca głupcem, ramotę arcydziełem, arcydzieło ramotą, rozpustnego klechę czcigodnym kapłanem itd. Jest to raczej paplanina zaściankowiczów, kumoszek i histeryczek, niż kuglarstwo o wielkiej skali. Dostrzedz jednak można między nami zarodki dziennikarskich rycerzy przemysłu w europejskim stylu. I jeżeli do naszej prasy zwrócą się kiedykolwiek po opiekę olbrzymie smoki życia, potrafi ona ich osłonić i nakarmić swojem kłamstwem. Dotąd znajduje się jeszcze w okresie idylli, do której wpadają zdala echa bandytyzmu, walczącego piórem. Jest to dziewica, która zawdzięcza swą niewinność głównie brakowi pokus, ale która z zajęciem czyta nieprzyzwoite powieści.

Na końcu krótka lekcya zastosowania powyższych uwag:

„*Czyfu, 26 listopada*" itd. Cokolwiek donosi telegram, to tylko w nim jest pewne, że istnieje miasto Czyfu i miesiąc listopad. Reszta wątpliwa.

Tak wygląda fabrykat zagraniczny, do nas sprowadzony.

„W koncercie wczorajszym wykonanie sonaty Beethovena wzniosło się" itd.

W tem sprawozdaniu niezawodnem jest tylko to, że istnieje (nawet nie to, że była grana) sonata Beethovena. Reszta wątpliwa.

To wyrób krajowy „szóstego mocarstwa."

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Anglia i Rzym

w średniowieczu.

(Ustęp z dzieła prof. Ludwika Gumplowicza: *Geschichte der Staatstheorien*, które niebawem opuści prasę.

—✦—

Zdobycie kraju przez Normandów francuskich dało początek współczesnej Anglii. Powiadamy współczesnej Anglii, gdyż z zajęciem kraju i panowaniem Normandów upadło było dawniejsze państwo anglosaskie i powstała Anglia normandzka. Na pytanie, kiedy i w jaki sposób państwo upada, można dać tę tylko mianowicie odpowiedź, że nastę-

pujo to wtedy, gdy władza przechodzi do rąk zupełnie innej klasy ludzi. Ani zmiana osoby władcy, ani zmiana dynastyi państwa nie przeistacza; pozostaje ono tem samem, gdy na tronie zasiądzie czy to nowa osobistość, czy nowa rodzina — dynastya. Musimy zaś mówić o nowem państwie, jeżeli cała klasa panująca utraci swoje stanowisko, a jej miejsce zajmie klasa innych ludzi. A to właśnie nastąpiło po bitwie pod Hastings (1066). Normandowie opanowali kraj cały, podzielili go między siebie, wypędzili dawniejszych panów anglosaskich z ich domostw i siedzib, tak więc w miejsce Anglii anglosaskiej powstała normandzka, o której musimy powiedzieć, że istnieje po dziś dzień, gdyż po dziś dzień kraj znajduje się w ręku potomstwa zdobywców z pod Hastings lub ludzi, którzy zajęli ich miejsce drogą pokojową, bez podboju i przemocy.

Chociaż Anglia w ten sam sposób otrzymała swoich władców, co niegdyś Francya swoich Franków, jednakowoż jej rozwój wykazuje w porównaniu z Francyą wielkie różnice. W Anglii ani tuż po zdobyciu, ani w dalszem życiu państwowem nie widzimy powstania wielkich panów feudalnych, którzy Francyi wieki całe przeszkadzali dojść do jedności narodowej i potem jeszcze bardzo utrudniali dzieło zjednoczenia. Tych wielkich panów feudalnych, z których każdy na własną rękę mógł rozkazom królewskim opór stawić, nie było w Anglii, choć Wilhelm Zdobywca musiał najwybitniejszym swym druhom i wodzom normandzkim wydzielić znaczne stosunkowo działy w kraju zdobytym. Przyczyna tej różnolitości rozwoju leży w różnych sposobach dzielenia ziemi. Wilhelm Zdobywca był sprytniejszym, niż swego czasu królowie frankońscy. I on musiał swym „panom“ oddać wielkie płaty kraju, ale wyznaczył im nie zwarte obszary, lecz liczne a rozproszone po całym kraju posiadłości *).

Dlatego też nie powstały w Anglii ani Rady prowincyonalne, ani Stany prowincyonalne, jak w Francyi, w poszczególnych okręgach, tylko *jedna* Rada państwa (choć podzielona na dwie Izby), gdzie się zbierali „panowie“ i „gminy“ z całego kraju. Dlatego też władza królewska w Anglii była zmuszona liczyć się nie z zachciankami niepodległościowemi feudałów, ale z jedną Radą państwa, która czuwała zazdrośnie nad prawami i wolnością wszystkich swych członków, całego „narodu“ i krok za krokiem żądała od władzy monarszej ustawowego zabezpieczenia tych praw i tej wolności. Taki właśnie parlament centralny uniemożliwił powstanie absolutyzmu, jak w Francyi, gdzie królowie pokonali feudałów najpierw pojedynczo, by potem nad wszystkimi absolutystycznie zapanować.

Ta różnica stosunków politycznych wywarła daleko sięgający wpływ na rozwój stosunków kościelnych w obu państwach, a mianowicie na stosunek państwa do Kościoła, na możność powstania reformacyi i dalsze jej losy w obu państwach. I na tym punkcie w obu krajach początki były e same.

Dlatego też Frankowie w Francyi postarali się swojego czasu co rychlej sprzymierzyć się z Kościołem katolickim, który zastali w zdobytym przez siebie kraju. Podobnie postąpili sobie niegdyś i Anglosasi, gdy po Rzymianach zdobyli Brytanię. Wyrzekli się, chociaż z żalem, starego Wotana, by ująć sobie nowego Boga, którego namiestnik siedział w Rzymie, lecz na dalekiej, przez nich świeżo zdobytej wyspie posiadał licznych zwolenników i możne wpływy. Zgoda ze sługami tego nowego Boga nie trwała jednakże długo, bo roszczenia Kościoła rzymskiego szły za daleko. Żądał on coraz to nowych podatków i włości, we wszystko się wtrącał, wszędzie chciał panować i coraz to więcej nadsyłał do kraju obcych, którzy pragnęli zagarniać dla siebie najlepsze dobra i najintratniejsze miejsca. Tak przyszło do nieporozumień i waśni.

W latach 60 i 70-ych XI wieku niebezpiecznie było szukać zaczepki z Rzymem. Przekonał się o tem w Niemczech cesarz Henryk IV, a i Anglosasi w Anglii mieli się o tem przekonać. Polityką Rzymu kierował wtedy Hildebrand, w ciągu panowania pięciu papieżów, archidyakon i kanclerz, aż wreszcie sam wstąpił na stolicę apostolską jako papież Grzegorz VII, jeden z największych polityków świata. Gdy więc z początkiem lat 60-ych XI stulecia Rzym miał powód do niezadowolenia z królów anglosaskich, gdy i biskupi angielscy opór stawiać poczęli coraz to dalej idącym pretensyom Rzymu, znajdując w tem poparcie u swych panujących, postanowił papież obalić panowanie Anglosasów, któremu dotychczas sprzyjał.

I w tym wypadku późniejszy Grzegorz VII użył do spełnienia swych zamysłów Normandów, w których widział najdogodniejsze narzędzie swej polityki świeckiej. Mnich Lanfranc pośredniczył między Rzymem a Wilhelmem normandzkim, który miał posłużyć, jako bicz do poskromienia Anglosasów. Dostał więc z Rzymu polecenie wykonania kościelnej kary, na którą pod różnymi, zupełnie błahymi pozorami skazano Haralda, prawowitego następcę Edwarda. Na czele wielkiej drużyny owych Normandów i awanturników, zebranych z całego świata, zaopatrzony w bulę papieską, poświęcony sztandar i przeróżne relikwie, otoczony znaczną liczbą sprzyjających Rzymowi zakonników i księży, wpadł on do Anglii. Szczęście wojenne dopisało mu — pod Hastings panowanie Anglosasów zostało złamane.. Panów anglosaskich ogołocono z ich posiadłości i oddano je druhom Wilhelma. I Rzym otrzymał dział z tego łupu. Że z początku jak najlepsza harmonia panowała między nową władzą królewską a Rzymem, nie wyda się dziwnem. Ale miodowe dziesięciolecia tego państwowo-kościelnego małżeństwa nie trwały długo. Pycha i chciwość Rzymu stała się przyczyną waśni i sporów między następcami Wilhelma a papieżami: w sto lat zaledwie po zdobyciu Anglii z pomocą Rzymu Henryk II zamordował na stopniach ołtarza arcybiskupa Tomasza z Canterbury z powodu kłótni o prawa państwa i roszczenia Kościoła. A chociaż męczeńska śmierć Tomasza czasowo przysporzyła korzyści Rzymowi, zatargi między państwem a Kościołem już nie ucichły i stały się w Anglii, podobnie jak w Niemczech i Polsce, silnym bodźcem do badań teoretycznych nad istotą państwa i jego stosunkiem do Kościoła. Tak w XIV wieku powstała w Anglii, skierowana przeciw Rzymowi, nauka Wiklifa, która przygotowała grunt pod Reformacyę, aż w XVI stuleciu z przyczyny pozornie błahej (małżeńska sprawa Henryka VIII) następca Wilhelma Zdobywcy odpada od Rzymu i sam się ogłasza głową kościoła panstwowego. Nie mógłby był naturalnie tego uczynić, gdyby niepowściągliwość Rzymu nie była już obudziła dawno w całym narodzie chęci zrzucenia z siebie zależności od papieża. W wolnej od Rzymu Anglii rozkwitły od XVI stulecia filozofia i poezya obok polityki i zdobyta została swoboda polityczna.

*) Por. Boutmy: „Devéloppement de l'organisation politique anglaise.“ 1890. (I Rozdz.).

GÓRNICTWO.

Ułożył Kazimierz Kondratowicz. Wydane z zapomogi Kasy imienia Józefa Mianowskiego.

—o—

Górnictwo, jako umiejętność najkorzystniejszego wydobywania minerałów użytecznych z naturalnych zbiorników wśród skał, nie jest u nas wytworem czasów ostatnich. Datuje się ono już od XI stulecia, jakim zaś cieszyło się rozwojem i sławą, świadczy fakt, że do kopalni frejbergskich w Saksonii sprowadzano w XII, zdaje się, wieku górników z Polski i z Czech. Do dziś pozostały po nich ślady w niemieckiej terminologii górniczej. Uważany np. za czysto niemiecki wyraz gneis, oznaczający skałę zawierającą żyły srebronośne, jest pochodzenia słowiańskiego. Skała ma tę własność, że w pobliżu żyły kruszcowej rozkłada się na masę gliniastą czyli „jak mówiono, „gnoi się“ stąd gnoja, w dawniejszej pisowni niemieckiej „gneus“, w dzisiejszej zaś „gneiss.“

O świetnym stanie górnictwa w dawnych czasach świadczą też kopalnie galeny srebronośnej w Olkuszu, soli w Bochni, Wieliczce, będącej do dziś przedmiotem podziwu. Miedzianogóra pod Kielcami, o której ważności mówią liczne dawniej grosze i trojaki z miedzi krajowej,“ Czarkowa, z obfitemi zapasami siarki, wreszcie Dąbrowa z najgrubszemi w Europie pokładami węgla kamiennego, oto są miejscowości, pozwalające wnosić o naszej umiejętności górniczej. Literatury jednak, traktującej o górnictwie nie mieliśmy. Zaczęto zaś pisać o tym przedmiocie wtedy dopiero, gdy świetne czasy minęły i górnictwo nasze upadło.

Wydany w r. 1830 pierwszy zeszyt pamiętnika Górnictwa i Hutnictwa, następnie początki nauki kopalnictwa, wreszcie cenne niezmiernie „Górnictwo w Polsce „ Łabęckiego miały na celu ożywić zmartwiały przemysł, przypominając dawne czasy i udzielając najgłówniejszych wskazówek technicznych. W żadnem jednak z tych dzieł, stanowiących całą naszą literaturę w tej dziedzinie, górnictwo nie było traktowane jako nauka, mająca na celu poznanie sposobów wydobywania z łona ziemi minerałów, przedstawiających pewną wartość w przemyśle. Treściwy wykład górnictwa i hutnictwa dał nam dopiero w 1872 r. Kosiński, przekładając i dopełniając doskonałe niemieckie dziełko Gurtla. Mała ta książeczka do ostatnich czasów stanowiła jedyne źródło do poznania głównych zasad górnictwa.

Rozwój przemysłu górniczego w drugiej połowie zeszłego stulecia wywołał u nas potrzebę założenia szkoły sztygarów w Dąbrowie, a następnie otwarcia wydziału górniczego w politechnice warszawskiej. Teraz zaś doczekaliśmy się pierwszego podręcznika naukowego górnictwa, odpowiadającego wymaganiom obecnym. Znany u nas dyrektor kopalni, były profesor w dąbrowskiej szkole sztygarów, inżynier Kondratowicz, dobrze zasłużył się naszemu społeczeństwu, wydając po polsku swój rozszerzony kurs górnictwa. Jest to nabytek cenny w naszej literaturze technicznej.

Bogactwo treści, jasność wykładu, liczne piękne drzeworyty, umyślnie wykonane, oto zalety książki p. K. Terminologia techniczna, użyta przez autora, zrywa ostatecznie z barbarzyńskimi terminami niemieckimi, zaprowadzonymi w naszych kopalniach przez przybywających z zagranicy techników cudzoziemców. Wyrazy szachta, sztreka, orta, bremsberg itd. zastąpiono czysto polskimi szyb, chodnik, przodek, pochylnia itd. używanymi przeważnie przez naszych dawnych górników. Terminologia ta jest piękna i rzecz ściśle określa.

Braki i usterki w dziale są nieliczne i dadzą się łatwo uzupełnić i poprawić w wydaniu następnem. Najbardziej razi niedość staranna korekta, która powinna była usunąć wyrażenia i zwroty obce duchowi naszego języka. W całości dzieła zauważyć można pewną nierówność: niektóre rozdziały czyta się z prawdziwą przyjemnością, inne rażą barbaryzmami.

Odsyłając ciekawych do drobiazgowej oceny górnictwa p. Kondratowicza, pomieszczonej przezemnie w *Chemiku Polskim*, tu zaznaczę, że dzieło p. K. powinni nabywać nietylko fachowi górnicy i studenci politechniki, lecz także właściciele ziemscy przemysłowcy i technicy; dla wielu bowiem jest tu sporo wiadomości bezpośredniego dla nich użytku.

Właściciele ziemscy znajdą w niem wskazówki codo sposobów szukania i eksploatacyi minerałów użytecznych, jak torf, węgiel, ruda, margle, piaski, żwir lub gliny, budowania, murowania, wiercenia i kopania studni itd. itd. Uważne przestudyowanie odpowiednich rozdziałów pozwoli im ustrzedz się wyzysku różnych, niezawsze fachowo uzdolnionych, przedsiebiorców, nauczy oceniać i kontrolować roboty.

Dla przemysłowców i techników są opisy potrzeb górnictwa naszego i sposobów ich zaspakajania. Dowiedzą się, które z produktów i maszyn, używanych w górnictwie, mogą być wyrabiane w kraju, jakie ulepszenia są konieczne, by wytwór krajowy odpowiedał warunkom naszej eksploatacyi, z czem nie liczą się wytwórcy zagraniczni. Szerokiemu rozpowszechnieniu „Górnictwa" sprzyjać powinna nizka cena dzieła. Dwa wielkie tomy formatu ósemki, wydane pięknym drukiem, na dobrym papierze, z licznemi ilustracyami za 3 ruble — to bajecznie tanio. W Niemczech dzieło takie kosztuje 30—40 marek.

Józef Kolski.

LITERATURA I SZTUKA.

Listy Ibsena.

A więc te zaciśnięte wargi przemówiły! Mówią o sobie, swych przejściach, duszy, otoczeniu, przyjaciołach.

Zdawało się, że już nie usłyszymy zwierzeń człowieka, który tam na północy przeżywa w odosobnieniu „zmierzch bogów." Przez całe życie pozostawała dusza jego zagadką. Z po za tworu artystycznego nie przezierał człowiek. Podczas gdy inni swą osobowością wpływali na sądy i opinie — on zdobywał rozgłos tylko swemi dziełami. Mówiono o nim obrazowo: przeolbrzymi lodowiec zsuwa się na Południe, wpływa na klimat Europy — nie topnieje jednak. I słusznie. Ibsen wiecznie milczał.

Aż oto obecnie otwierają się jego usta. Cóż nam powie?

Właściwie sam Ibsen nie przemówił. Mówią zań listy, które w ciągu 50 lat (od r. 1849 do 1900) wysyłał *). A listów tych zebrano 238. Jak na tak bujne, burzliwe życie, taką moc przejść duchowych, tak rozgałęzione stosunki, taki wpływ — bardzo mało.

A jednak te listy pozwalają przeniknąć całą osobowość Ibsena, przeobrażają zupełnie zdanie o nim, przydają milczkowi oświetlenie dziwne a niespodziewane. Kiedy przed kilku tygodniami część tych listów pojawiła się w jednym z miesięczników niemieckich, spotkałem się ze zdaniem: Szkoda, że już teraz zdziera się maskę tajemniczości, signum misticum, z oblicza Ibsena. Szkoda, że sprowadza się go na niże człowieczeństwa.

Bo też nie da się zaprzeczyć: Ibsen jako człowiek stoi niżej od dramaturga. Nawet tak fanatyczny jego wielbiciel jak Brandes przyznaje w ustępie z listu do Nietzschego z r. 1888. „Niestety Ibsen człowiek nie stoi na tej wysokości, co poeta". (Nietzsches Briefe Band III 1905).

Przebija to wyraźnie ze stosunku jego do najbliższych. Przedewszystkiem brak mu kardynalnej podstawy—szczerości. Wie on zresztą o tem dobrze. Do Björnsona pisze jeszcze przed 40 laty: „Jest to moim błędem, że nie umiem się zbliżyć z całego serca do ludzi, którym powinienem się oddać szczerze i zupełnie. Mam w sobie coś ze Skaldów w „Pretendentach do korony": nie mogę się zdobyć na to, aby się całkowicie rozebrać. Mam wrażenie, że w stosunkach z ludźmi używam fałszywego wyrazu na to, co we wnętrzu noszę i co jest właściwem mem „ja". Dlatego wolę je zamykać..."

Szczerzej przyznać się nie można do — nieszczerości.

W listach wszędzie niemal zauważymy jedno: każdy prawie rozpoczyna się usprawiedliwianiami, że tak późno odpowiada, narzekaniami na mękę zwierzania się ludziom itd.

Ta nieszczerość, spotęgowana niekonsekwencyą postępowania, przejawia się najdosadniej w stosunku do Björnsona. Przez całe życie nie wiedział Ibsen, jakim właściwie był jego stosunek do autora „Ponad siły." Z krańcowości przeskakiwał w krańcowość. Gniew i uwielbienie naprzemiany. Nazywa go „królewską duszą." a potem w liście do Brandesa pisze: „Że Pan się źle o Björnsonie wyraża nie dziwi mię. Dla niego bowiem istnieją tylko dwa gatunki ludzi: ci, których może wyzyskać i ci, którzy go rażą." Zaś samemu Björnsonowi pisze: „Ty jesteś tym, którego najbardziej kochałem."

Jeżeli listy Ibsena wykazują taką dwulicowość i chwiejność w stosunku do otoczenia — to w stosunku do siebie samego dowodzą żelaznej konsekwencyi i świadczą o niezmordowanem, z egoizmem graniczącem dążeniu do zamierzonego celu. Od owej chwili kiedy, jako aptekarczyk za ladą, wyrywał się z dusznej atmosfery, aż do tej, kiedy z bezgraniczną ufnością w siebie epilogowi twórczemu dał miano „Zmartwychpowstania po śmierci," moc odrodzenia, piętno nieśmiertelności—przez cały czas szedł Ibsen wciąż naprzód, nie widząc rozdroży, a tylko cel wytknięty. Trzeba się wczytać w te listy, aby zrozumieć, jak przezornie i mądrze umiał załatwiać „interesy" i kształtować sprawy życiowe. Listy do nakładcy świadczą o znakomitym zmyśle kupieckim, listy do rodziny o wybornej praktyczności.

Poznawszy, jakim był Ibsen w stosunku do otoczenia i siebie samego, zapytujemy, jakim się okazywał wobec narodu i ojczyzny. Już w poematach jego lirycznych i rozprawach teoretycznych z najwcześniejszego okresu jego życia wiele o tem mówi. W listach jednak więcej znajdujemy materyału poznawczego. Dusza Ibsena przebyła długą ewolucyę, wiele przeobrażeń co do uczuć patryotycznych i uświadomienia przynależności do narodu. Jeszcze w r. 1869 pisze do siostry:

„Między nami leży tak wiele, między mną a ojczyzną... Wzrok mój jest skierowany ku memu wnętrzu; tam mam pobojowisko, na którem to zwyciężam, to doznaję porażki. Lecz to nie daje się opisać w liście. Nie czyń żadnych prób nawrócenia mnie. Chcę być sługą prawdy: co ma się stać, niech się stanie."

W roku 1891 pisze znowu do siostry o uczuciach sprzecznych, krzyżujących się w jego duszy: z jednej strony ciągnie go południe — Włochy, Europa, z drugiej — nostalgia...

„Z pośród znajomych lat dziecięcych zastałbym teraz już niewielu. Stanąłbym wśród nowego, obcego mi pokolenia. A może i nie tak bardzo nowego. W ciągu długich lat nieobecności miałem zawsze wrażenie, jakobym jeszcze wciąż należał do miasta rodzinnego."

A przed teściową swą, panią Thoresen, zwierza się w r. 1865 w liście datowanym z Rzymu: „...tu we Włoszech wcale mi nie smutno; w domu było mi smutno..."

Swą niechęć do Norwegii rozszerza Ibsen na całe plemię germańskie. W r. 1866 pisze do brata kompozytora Griega: „Jest to zupełnie słuszne, że czuję silną niechęć nietylko, jak pan powiada, do Niemców, lecz wogóle do niemieckości i niemczyzny.

Jerzemu Brandesowi stara się (w liście z r. 1888) wytłomaczyć tę swą niechęć do kraju i rasy, do której należy: „W Norwegii nie mógłbym osiąść na stałe. Nigdzie bardziej, niż tam, nie byłbym pozbawiony ojczyzny. Dla człowieka duchowo rozwiniętego nie wystarcza dziś stare pojęcie ojczyzny. Sądzę, że świadomość narodowa jest na wymarciu, miejsce jej zajmie świadomość klasowa."

Wreszcie już jako starzec 70-letni pisze do Brandesa z Chrystyanii: „Tu są zatkane wszystkie kanały świadomości. Kochany Brandesie, nie napróżno człowiek przeżył 25 lat tam, wśród wielkich, wolnych i wyzwalających stosunków kulturalnych. Tu w pośrodku, albo lepiej wyraziwszy, tu w górze, wśród fiordów mam kraj, gdzie się urodziłem. Ale—ale— ale gdzie znajdę kraj mej ojczyzny? Najbardziej pociąga mię morze..."

W takich zarysach przedstawia się stosunek Ibsena do Północy.

Jakże ton się zmienia, kiedy w grę wchodzi twórczość artystyczna! Postać przeobraża się niemal zupełnie. Nie poznajemy jej. Wyłania się twarz inna. Tą samą powagą, która bije z dramatów, przesiąknięte są listy, mające związek z twórczością jego artystyczną i poglądami na sztukę.

„Wszystko, powiada Ibsen, a zdanie to ma znaczenie zasadnicze, co stworzyłem, pozostaje w ścisłym związku z tem, co przeżyłem, aczkolwiek nie doświadczyłem. Każdy nowy poemat spełnił swój cel wobec mnie samego, służąc, jako proces wyzwalający i oczyszczający.

Bo człowiek nigdy nie jest bez współodpowiedzialności i współwiny wobec społeczeństwa, do którego należy. Dlatego też napisałem jako dedykacyę do jednego egzemplarza mych książek:

Żyć — znaczy zwalczać w sobie
zmorę ciemnych nocy.
Tworzyć — odbywać sąd
nad swem własnem ja."

Nareszcie!.. po tylu dowodach ludzkich, przypadkowych, egoizmem cywilizacyi przesiąkniętych drgnień duszy i postępków — nareszcie myśl i słowo wzniosłe, ibsenowskie! Ten jeden pogląd równoważy te wszystkie, w których Ibsen wydać się musiał przykrojonym zaiste nie na miarę Fidyasza.

B. Merwin.

*) Briefe von Henrik Ibsen. Herausgegeben mit Einleitung und Anmerkung von Julius Elias und Halvdan Koth. 10 Band „Sämmtliche Werke Ibsen's."

NOWE KSIĄŻKI.

— T. Jeske-Choiński: **Neofici polscy** (str. 289).

Jest to dzieło najpracowitsze, najzupełniejsze, najpoczytniejsze i najpoważniejsze w historyografii polskiej. Autor zapewnia nas, że „pracował w różnych kancelaryach kościelnych warszawskich i niewarszawskich,“ że „wertował *Księgi urodzonych*,“ że oprócz nich także „wertował konstytucye, herbarze, pamiętniki, różne dzieła historyczne itd.,“ wreszcie — i to była główna praca Herkulesa — „*przeczytał*, jedną po drugiej, *kilka milionów* metryk w czterech językach.“ Jakkolwiek p. J. Ch. utrzymuje, że na ten ogrom trudu zużył 4 lata, uważemy to tylko za jeden więcej w nim dowód nadzwyczajnej skromności. Bo, nie rachując czasu „wertowania konstytucyj, herbarzów itd.,“ gdyby szan. badacz przy wyjątkowej biegłości w 4 językach dla odczytania jednej metryki potrzebował tylko 10 minut, a przy wyjątkowej wytrwałości czytał je dziennie przez 10 godzin, to ponieważ najmniejszą ilością „kilku“ jest trzy, więc dla poznania trzech milionów metryk potrzebowałby 137 lat. Zaznacza on, że z początku „traktował tę szperaninę, jak zabawkę — zaspokojenie osobistej ciekawości.“ Zważywszy, że czytanie metryk żydowskich dla „zabawki“ może być tylko upodobaniem bardzo wczesnej młodości i że p. J. Ch. zaczął w ten sposób „bawić się,“ mając lat 10, liczyłby on ich obecnie 147. Śliczny wiek, którego zaledwie dosięgli mężowie biblijni. Doprawy nie dziwi nas, że zaufany w swoją długowieczność, obiecuje „dalsze tomy z dopełnieniami.“

Jest to dalej praca najzupełniejsza. Bo w jednej parafii św. Krzyża p. J. Ch. „wykopał z pyłów i kurzów pożółkłych ksiąg blizko 100 Żydów, ochrzczonych w XVIII stuleciu.“ Razem zaś od XVI wieku do dziś „wykopał“ ich 1200 kilkadziesiąt. Tyle tylko ochrzciło się u nas przez 400 lat? No, nie. Przecież to nie jest materyał statystyczny, ale „historyczny.“ Zresztą sam autor widzi braki, a nawet zastrzega: „nie wymieniłem wielu znanych powszechnie neofitów dlatego *tylko*, że nie zdążyłem dotąd *odnaleźć* ich metryk.“ Dziwnie mu się przytem wiodło! „Zdążył odnaleźć“ metrykę pani Sz., ochrzczonej w Courtrai, w Belgii, a nie „zdążył odnaleźć“ metryk rodziny współwydawcy *Kuryera Warsz.*, gdzie stale od lat .ielu zajmuje suteryne odcinka. Podobnież nie „zdążył odnaleźć“ metryk wielu adwokatów, lekarzy itd. — i to — rzecz szczególna — głównie tych, których najczęściej spotyka. Ach, jakie to figle los płata — pewnym historykom.

Jest to dzieło najpoważniejsze. Nie potrzebujemy chyba dowodzić, jaką doniosłość ma wykrycie faktu, że Izrael Jakób Pragenser ochrzcił się w r. 1734, a Zysman Szulim w roku 1889.

Jest to wreszcie dzieło najpoczytniejsze. „Wiadomo — pisze w przedmowie p. J. Ch., mrugnąwszy znacząco — że potomkowie rodzin neofickich nie lubią, gdy im ktoś pochodzenie żydowskie przypomina.“ Wiadomo również, że się kupuje nietylko te książki, które się „lubi.“ Wobec tej świadomości celu przeczytania „kilku milionów metryk“ i wyłowienia z nich tysiąca neofitów na użytek „nauki,“ poprostu olśniewa nas uprzejmość autora, który pyta: „Jaki cel może mieć taki słownik? Odpowiem: jest to materyał historyczny, *jak każdy inny*.“ Wprawdzie nie „jak każdy inny,“ ale mniejsza o to. Ważniejszym tu jest dobry wzór. Skoro kancelarye parafialne stoją otworem dla tego rodzaju badaczów i skoro akty, które dotychczas uważaliśmy za ubezpieczone od „ciekawości“ i druku, mogą być zużytkowane w celach spekulacyi wydawniczoliterackiej, to dlaczegóżby inni „szperacze“ nie mieli „wertować pożółkłych ksiąg“ i „czytać kilku milionów metryk“ dla innych podobnych odkryć — np. ułożenia spisu dzieci nieprawych, zwłaszcza wśród rodzin znanych? Byłby to również „materyał historyczny“ *generis Choinskiani*. *B.*

Notatki literackie i artystyczne

— Herman Siebeck: „Arystoteles,“ przełożył z drugiego wydania niemieckiego Antoni Krasnowolski (wydawnictwo *Przegl. Fil.*, „Klasycy filozofii“). Skład główny Wende i S-ka.

— K. Lasswitz: „Gustaw Teodor Fechner,“ z 2-go powiększonego wydania przełożyła dr. Regina Maliniak („Klasycy filozofii,“ wyd. *Przegl. Fil.*), Wende i S-ka.

— G. Tarde: „Opinia i tłum“, tłom. K. Skrz. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

— S. Saenger: „John Stuart Mill,“ tłom. A. Krasnowolski, wydaw. „Klasycy filozofii,“ Wende i S-ka.

— Karol Peters, profesor mineralogii i geologii w Hradcu: „Mineralogia“, przełożył z niem. Józef Morozowicz, Kan. nauk przyrodniczych. Nakł. Gebeth. i Wolffa.

— Ksawery Sporzyński. „Dziwy elektryczności, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— W Bölsche: „O pochodzeniu człowieka,“ z niem. przeł. dr. Z. Szymanowski. Warszawa. Centnerszwer i S-ka,

— Dr. Ludwik Bruner: „Pojęcia i teorya chemii,“ Biblioteka Naukowa.

— „Rajstwo czyli błogość odżywiania się surowemi roślinami.“ Wyd. Pamiętnika Zdrowia. Berlin.

— „Pamiętnik Fizyograficzny,“ tom XVIII, wydany z zapomogi Kasy imienia dr. Józefa Mianowskiego.

— W. Przyborowski: „Historya sześciu miesięcy,“ ustęp z dziejów 1862 r., nakł. Dubowskiego.

— Dr. A. Ludwik: „Dzieje polskiego narodu w zarysie,“ Gebethner i Wolff. Warszawa.

KALENDARZE. Na *Pogotowie ratunkowe* kalendarz informacyjno-encyklopedyczny na rok 1905, zwykłego formatu, rozszerzony i uzupełniony, wydany nakładem Towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej. Cena rb. 1, kop. 20.

— J. Ungra: „Kalendarz ilustrowany na r. 1905. Format zwykły. Cena 50 kop.

— A. Strzelecki: „Kalendarz rolniczy na r. 1905. Część I notatnik, a część II zbiór artykułów.

POEZYE

POE.

Duszą, pijaną bólem, w wir słońc, szedł w zamiecie
Złotych gwiazd, by myśl pędu ich obłąkać szałem
I ogień prometejski zdobyć tam — w wszechświecie...
Wzniecić iskry w serc ludzkich truchle spopielałem...
...Naprożno... Nie rozświetlą kosmiczne pożary
Mroków — wciąż gęstniejących... W żałobne całuny
Spowiły one ziemię, mąk krzyże i truny...
Cisza... I czasem jeno krwawe widma mary
Na groby wpełzną — sabat swój w nocnej pomroce
Sprawują... Lęk śmiertelny, blade przerażenie
Błądzą w ciszy strasznej i żale sieroce
Słą dalom...
I swój wtedy rzucał szlak sokoli,
By się wgrążyć w żywota pogrzebowe cienie
I współwięźniom — współludziom pieśń śpiewać... niedoli.

Br. Winawer.

Z PRASY.

— Z powodu wypowiadanych w *Grażdaninie* życzeń zawarcia pokoju, *Now. Wrem.* tak pisze:

„Zdaniem „stronnictwa pokoju“ jedynie próżność przeszkadza zakończeniu wojny. Wszystkie inne przeszkody — to drobnostka. Że Japonia zdradziecko napadła na Rosyę bez wypowiedzenia wojny, wiedząc, żeśmy wojny nie pragnęli i do wojny się nie przygotowali, że, korzystając z ogromnej przewagi sił zbrojnych, zniszczyła połowę floty naszej, pozabijała i pokaleczyła dziesiątki tysięcy Rosyan, nabawiła nas olbrzymich wydatków, już teraz obliczanych na setki milionów rubli — czyliż to wszystko drobnostka? Czy także jest fraszką, że w ciągu dziewięciu miesięcy Rosya doznawała nieustannej trwogi niepowodzeń, porażek moralnych, obelg lub jeszcze bardziej haniącego politowania, zuchwałych wyzywań, wobec których musieliśmy się cofać, i ohydnych oszczerstw, na które odpowiadać nie mogliśmy? Zaiste, grubą skórę muszą mieć nasi stronnicy pokoju, jeżeli to wszystko nie zdołało zadrasnąć ich „próżności.“

Mniemamy, że to „stronnictwo“ okrutnie się myli, przypuszczając, iż swoim udanym sentymentalizmem pociągnie za sobą Rosyę. Rosya nie chciała wojny i nie przygotowała się do niej I za tośmy dosyć zapłacili. Ale Rosya jest żywa i silna. Ona zaledwie teraz przysposobiła się do należytej walki i ma prawo domagać się zaszczytnego pokoju, który tylko zwycięztwo zapewnić może.“

— Wychodzący w Mukdenie *Wiestnik* armii mandżurskiej wydrukował:

„Dziennik medyolański *Cercle della Sera* umieścił korespondencyę o jakichś dezerterach rosyjskich w Japonii. Gdyby autor korespondencyi żywił większy szacunek dla ludzi i był zdolny oceniać postępki obywateli i żołnierzy, sprzeniewierzających się swojemu obowiązkowi, wymieniłby owych zbiegów, nie poprzestając na ogólnikach. Korespondencya zresztą nie zasługiwałaby na uwagę, ale nie można jej pominąć milczeniem, ponieważ przedrukował ją bez komentarzy jeden wielki dziennik rosyjski i ponieważ korespondencya tendencyjnie mówi o jakichś wielu jakoby dezerterach - Polakach. Dziennikarzowi cudzoziemskiemu jest oczywiście bardzo na rękę rozgłosić naiwne twierdzenie, jakoby żołnierz rosyjski narodowości polskiej przyszedł na wojnę ze swoją polityką polską, która jakoby znajduje wyraz w zbiegostwie do Japonii. Aliści każdy wie tutaj, jak dalece taka pogłoska, a tem bardziej twierdzenie, jest niesumienne. W armii rosyjskiej, czynnej na Dalekim Wschodzie, i w marynarce Oceanu Spokojnego znajdzie się niemało Polaków oficerów i szeregowców, którzy walecznością swoją zaskarbili sobie ogólny szacunek i zjednali wyższe odznaczenie. Wszyscy Polacy oficerowie, lekarze, urzędnicy, szeregowcy i sanitaryusze tworzą z rdzennymi Rosyanami jedną całość pod względem zaparcia się siebie w spełnianiu obowiązku.“

— W *Rus. Inw.* czytamy następującą notatkę o żywieniu się oficerów na placu boju

„Tu bez względu na rannych, ciągnących się długim szeregiem po drodze, bez względu na to, że boki drogi zarzucone są butami, okrwawionemi szmatami i bandażami, bez względu na to, że śmierć panuje wszędzie i rozwinęła swe potężne skrzydła nad wsią i szumi niemi wślad za groźnym lotem szrapneli, ludzie jednak żyją życiem codziennem, a ci, którym, być może, że za jakieś pół godziny sądzono umrzeć, potrzebują jeść i pić i w godziny obiadowe spoglądają z zazdrością na kuchnie ruchome, mijające ich i skierowane ku rezerwistom. Istotnie, żywienie oficera w czasie wojny zorganizowane bardzo nieprawidłowo. Dawno

już czas dać im to samo, co żołnierzom, to jest stałą porcyę. Żołnierz ma i chleb, i suchary, i funtową porcyę mięsa w kapuśniaku, uwarzonym ze smacznej, słodkiej a delikatnej jak sałata kapusty chińskiej. A oficer? Ten raz wraz nie ma literalnie nic. A na pozycyi skądże ma dostać cokolwiek do zjedzenia?"

— *Ruś* podaje następujące opowiadanie sanitaryusza Czerwonego Krzyża, Askrebkina, który przybył niedawno z Portu Artura:

„Opowiadając o szturmach, sanitaryusz mówi, iż najstraszniejsze wrażenie robią wybuchy fugasów. Widok poszarpanych ciał Japończyków nie daje się opisać. Kamienie były zupełnie czerwone i lepkie od krwi.

Nie mogę zapomnieć — mówi Askrebkin — jednego zabitego Japończyka, który leżał cały obmotany wnętrznościami swoich towarzyszów. Ze wszystkiem jesteśmy obyci, a jednak, pomimo to, przez dwie noce nie mogliśmy spać pod wpływem tego wrażenia.

Czując się zupełnie chorym, Askrebkin otrzymał od gen. Stessla pozwolenie na wyjazd. Dżonka jeszcze nie zdążyła wypłynąć na otwarte morze, gdy została zatrzymana przez torpedowiec japoński. Przywieziono ich do Sasebo, a następnie do Nagaski. Obchodzono się z nimi przez cały czas grzecznie i troskliwie. Następnie przesiedli na parowiec angielski, który ich przywiózł do Szang-haju.

Traktowanie angielskich marynarzy i podróżnych było do tego stopnia oburzające i krzywdzące, że Askrebkin zmuszony był prosić, ażeby go wraz z towarzyszami zamknięto gdziekolwiek.

Wyśmiewano ich, popychano, pokazywano im karykatury i morzono głodem. Bufetowy nawet za pieniądze nie chciał im dać jedzenia i wody gorącej. Gdyby nie Japończyk-lokaj, który ich skrycie żywił, pomarliby z głodu.

Z Singapore, bez wszelkich przygód, dotarli do Odesy. Askrebkin, zupełnie chory, spieszył do rodziny, ale zabrakło mu pieniędzy, 60 k., na bilet do Ekaterynosławia. Ledwie wybłagał bezpłatny przejazd. Zginęło mu w drodze 200 rb., ale pozostała książeczka kasy oszczędności w Charbinie, na mocy której może otrzymać 175 rb.

Znękany, obdarty, chory udał się do dyrektora oddziału Banku państwa. Odpowiedziano mu, że pieniędzy nie może otrzymać przed Nowym Rokiem, gdyż muszą się porozumieć z Charbinem.

Askrebkin płakał, pokazując swój pasport, pozwolenie na wyjazd, wydane przez generała Stessla, świadectwo Czerwonego Krzyża: prosił choć o cokolwiek—i wszystko napróżno."

— Poważniejsze pisma nasze często i słusznie zarzucają prasie codziennej paczenie języka i stylu oraz brak ścisłości w terminologii rzeczy obcych. Nieraz jednak sami oskarżyciele nie są wolni od tych pomyłek.

Oto np. aż nadto poważna *Biblioteka Warszawska* w zeszycie październikowym, zdając sprawę z posiedzenia Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce, pisze, iż według odnalezionego przez prof. Mycielskiego katalogu byłej galeryi Stanisława Augusta, znajdowała się w niej wielka ilość arcydzieł mistrzów „niderlandzkich, flamandzkich i holenderskich." A przecież pierwszy przymiotnik jest synonimem dwu ostatnich, wziętych razem! W tej samej notatce nazwiska tak znanych malarzy, jak Watteau, Lancret, Rigaud, podane są jako Vatteau, Lancrete i Rigaude.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Władza poleciła przyjąć jedną z kobiet w poczet majstrów cechu introligatorów, zaznaczając przy tem, iż kobiety na równi z mężczyznami mogą należeć do cechów, gdy znają fach, wdowy zaś po majstrach — nawet bez jego znajomości.

— Zatwierdzono ustawę Związku buchalterów w Warszawie.

— Z Petersburga donoszą, że w ministeryum spraw wewnętrznych rozpoczęła obrady komisya, która proponuje, aby rzemieślnikom Żydom magistraty miast wydawały świadectwa fachowe, dające prawo osiedlania się w całej Rosyi.

— *Birż. wiestnik* donosi: „W d. 20 listopada, około południa, przed świątyniami ewangelickiemi św. Jana i św. Pawła, grupa ludzi usiłowała wywołać zamieszki uliczne i zaczęła rozrzucać odezwy treści występnej. Usiłowania te jednak zakończyły się zupełnem niepowodzeniem skutkiem obojętności tłumu względem dzikiego wybryku, jako też w porę przez policyę przedsięwziętych zarządzeń. Kilka osób, rozrzucających odezwy aresztowano".

— Wychodźstwo Polaków, Rosyan i Żydów z gub. Suwalskiej do Ameryki i Anglii wciąż się wzmaga. W niektórych miasteczkach, posiadających dawniej liczne gminy żydowskie, pozostało zaledwie kilka rodzin.

Szkoły i wychowanie. Na odbytej w gmachu szkoły rzemiosł im. Konarskiego naradzie pedagogicznej nauczycieli szkół początkowych w Warszawie, po rozpatrzeniu różnych spraw szkolnych, omawiano kwestyę niesłychanego przepełnienia szkółek miejskich. Nauczyciele kładli nacisk na nadzwyczajne przejścia, jakich doświadczają w okresie przyjmowania uczniów. Płacz matek, prośby i propozycye różnego rodzaju, narzekania, pogróżki, a nawet zuchwałe wymysły — oto, co ich spotyka. Wśród ludności uboższej Warszawy powstało przekonanie, że łatwiej jest wygrać na lotoryi, niż umieścić dziecko w bezpłatnej szkółce początkowej. (*Wars. Dn.*).

— Minister oświaty pozwolił przyjąć z powrotem do uniwersytetu warszawskiego 11 wydalonych studentów.

— W niektórych męzkich gimnazyach rządowych lekarze miejscowi rozpoczęli badania ogólnego stanu zdrowia i rozwoju fizycznego młodzieży. Polegają one na oglądaniu zębów, pomiarach klatki piersiowej, rozwoju czaszki oraz sprawdzaniu sprężystości mięśni za pośrednictwem siłomierzów, obciążania stopniowego ramion itp. Przy tej sposobności lekarze zawiadamiają rodziców o dostrzeżonych wadach organizmów, w celu zaradzenia im drogą kuracyi. (*Kur. Warsz.*

— W roku przyszłym ma się odbyć w Petersburgu zjazd kobiet-lekarzy w celu wyjednania prawa profesury nietylko w instytutach lekarskich dla kobiet, lecz i na medycznych fakultetach uniwersyteckich. (*Birż. Wied.*).

— Żądaniu kuratora kijowskiego okręgu naukowego, ażeby nauczycielkom po wyjściu za mąż zabroniono wykładów w szkołach, ministeryum oświaty dało odpowiedź, że może to nastąpić tylko wtedy, jeżeli się okaże, że zamążpójście przeszkadza spełniać należycie obowiązki pedagogiczne.

— Ze względu na wzmożoną potrzebę lekarzy skutkiem wojny i ukazania się cholery na Kaukazie, ministeryum oświaty, na prośbę ministeryum spraw wewnętrznych, postanowiło przyspieszyć egzaminy na wydziale lekarskim wszystkich uniwersytetów w państwie rosyjskiem. Wykłady przeto i zajęcie w klinikach mają się skończyć przed marcem r. 1905, poczem nastąpią egzaminy przed komisyami rządowemi, które mają być ukończone w połowie kwietnia.

— Do uniwersytetu lwowskiego zapisało się w półroczu zimowem 2,620 słuchaczów i 131 słuchaczek.

— W uniwersytecie moskiewskim kształci się w r. bież. 4,845 studentów, w Petersburgu 3,855, w Kijowie 3,250, w Helsingforsie 2,500, w Jurjewie 1,800, w Odesie 1,500, w Charkowie 1,450, w Warszawie 1,340, w Kazaniu 902 i w Tomsku 650.

— Władza naukowa wyjaśniła, że osoby z domowego wychowania, przystępujące do egzaminów jednocześnie z uczennicami, przechodzącemi z IV do V klasy gimnazyum żeńskiego, lub też posiadające świadectwa z ukończonego trzy lub czteroklasowego progimnazyum — do VII lub VIII klasy, po zdaniu wymaganego egzaminu, korzystają z praw uczennic gimnazyów żeńskich.

— Minister spraw wewnętrznych pozwolił wielu Żydówkom przyjechać do Petersburga dla kształcenia się w instytucie lekarskim.

— Wyjaśniono, że świadectwo z ukończenia szkoły realnej łącznie ze świadectwem dodatkowem ze zdania egzaminu z języków starożytnych, dają te same prawa, co patenty dojrzałości.

— *Rus. Wied.* donosza, że na prośbę profesorów uniwersytetu o przywrócenie wyższych kursów żeńskich w Kijowie minister oświaty oświadczył, iż podanie przyjmuje niechętnie i zadośćuczynienie mu uważa za niepożądane.

— Egzamina na V kursie wydziału lekarskiego w uniwersytecie warszawskim rozpoczną się w styczniu r. p.

Literatura i prasa. Bolesław Rakowski, redaktor *Pracy*, skazany został przez poznańską izbę karną na 2 miesiące więzienia za artykuł p. t. „Jak najmniej oficerów."

— Gazecie *Nasza Żizń* zabroniono sprzedaży numerów pojedynczych.

— Zarząd kolei Nadwiślańskich opracował nowe przepisy o sprzedaży czasopism na dworcach, według których w sprzedaży powinno być przynajmniej 10 wymienionych przez zarząd pism petersburskich, 6 moskiewskich, 4 tygodniki rosyjskie, a oprócz tego wszystkie czasopisma warszawskie. Pozwolenie władzy mają wyjednywać sami przedsiębiorcy.

Ze sztuki. Na konkursie Koła architektonicznego na projekt gmachu szkoły handlowej w Łodzi, nagrodę pierwszą (800 rb.) przyznano pp. F. Lilpopowi i K. Jankowskiemu z Warszawy, drugą (500 rb.) p. A. Newigerowi z Łodzi, trzecią (350 rb.) p. M. Grodzieńskiemu z Warszawy, oraz odznaczono wzmiankami zaszczytnemi projekty z godłami „Liska" i „Cecylia."

— We Lwowie otworzono drugą wystawę związku artystów polskich.

— Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych w Moskwie zawiadamia, iż w sezonie bieżącym, w lokalu Muzeum historycznego odbędzie się XXIV wystawa stała obrazów, akwareli, pasteli, rysunków i rzeźb. Dzieła na tę wystawę artyści nadesłać powinni do Muzeum najdalej do dnia 1 grudnia r. b. Nagrody: 400, 300, 200, 125 i 75 rb. Objaśnień udziela Towarzystwo Zachęty w Warszawie.

— Dnia 20 z. m. na Kahlenbergu pod Wiedniem odbyło się uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej, poświęconej pamięci Jana Sobieskiego.

— W starodawnej Leydzie, miejscu urodzenia Rembrandt'a, już teraz się zawiązał komitet dla robót przygotowawczych do wielkich uroczystości, jakiemi Holandya chce uczcić trzechsetną rocznicę dnia urodzin największego swego malarza, przypadającą na 15 lipca r. 1906.

— W przepysznej, wielkiej sali wiedeńskiej Hofbibliothek, prawdziwem arcydziele mistrza wiedeńskiego baroka, Fischera von Erlach, otwartą została wystawa opraw artystycznych, pochodzących z wielce bogatych zbiorów tej książnicy. Wystawa zawiera bardzo rzadkie i piękne okazy szlachetnego kunsztu introligatorskiego i poglądowo przedstawia jego rozwój i odmiany stylowe od czasów starożytnych, aż do współczesnego odrodzenia się tej gałęzi sztuki stosowanej.

Sprawy ekonomiczne. Zatwierdzono ustawy: piątego Towarzystwa wzajemnego kredytu w Warszawie dla Mokotowa, oraz takiegoż Towarzystwa w pow. Rawskim, gub. Piotrkowskiej.

— Wydział obrachunkowy warszawskiego oddziału Banku państwa miał we wrześniu 31,093,112 rb. obrotu, czyli o 20,127,385 rb. mniej, niż w tymże miesiącu roku zeszłego.

— *Gaz. Polska* donosi: Wobec podniesionej sprawy obowiązkowego wypoczynku świątecznego, do ministeryum spraw wewnętrznych napływać poczęły podania od różnych stowarzyszeń rzemieślniczych o zachowanie swobody w pracy, albowiem ograniczenie prawne tej swobody jest w przemyśle niewykonalne i może wywołać potrzebę obchodzenia prawa. Petenci wnoszą, ażeby do umowy o najmie robotnika włączyć artykuł, któryby określał stosunek wzajemny i wysokość płacy za robotę w dni świąteczne i godziny nadetatowe. Czwarta część roku odchodzi na święta, wypoczynek zaś przymusowy rujnować może rzemieślników uboższych.

— *Ruś* donosi, że opracowywany jest projekt ustawy Towarzystw kredytowych miejskich, dających pożyczki na nieruchomości po za obrębem miast.

Poczta. Od 14 grudnia r. b. wprowadzona będzie w państwie rosyjskiem wymiana przekazów pocztowych z Włochami.

— **Zmarli.** Wojciech Eliasz-Radzikowski, artysta-malarz, w Zakrzówku pod Krakowem.

— Witold Weychert, artysta-malarz, w Świdrze pod Warszawą.

— Leon Grosglik, współpracownik *Izraelity*, sekretarz zarządu warsz. gminy żydowskiej.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 18 Ноября 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.